ROCZNIK
RYMANOWA ZDROJU

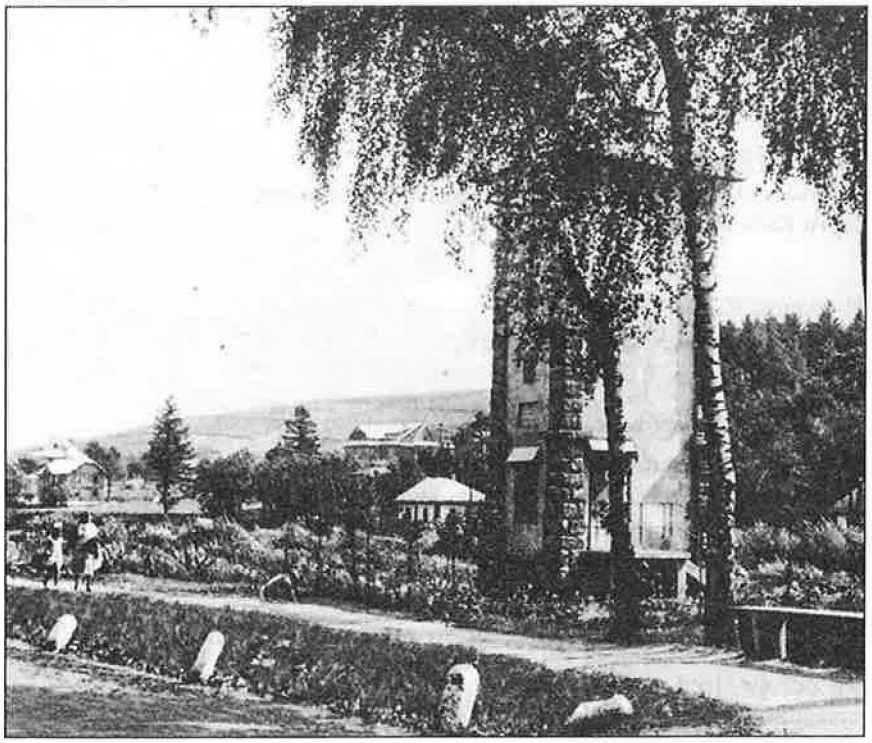

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

1998
TOM III
FOT-ART'94

Andrzej Stojowski

UZDROJOWISKO

Dziadek mój, właściciel Uzdrojowiska, mieszkał w willi „Pod Jarząbkiem". W sezonie niczym legendarny Starzec z Gór zstępował z lesistych wyżyn Nieczajny w dolinę dolnego biegu Taby, by przechadzać się po deptaku. Tu, ukazując się obcym, publiczności, czynił starania, aby przynajmniej w zasięgu swej władzy przywrócić do życia ową prawdziwą EUROPĘ sprzed roku 1914 albo przynajmniej ochronić te nikłe szczątki, jakie jeszcze z Europy owej pozostały u schyłku lat trzydziestych, w Polsce rządzonej przez Bóg wie kogo jakiegoś „pana prezydenta", jakiegoś „pana marszałka" i ich niewyraźną świtę – legionowych awanturników, bebewuerowców, endeków, ozonowców, sanatorów – i tutti quanti, to jest byle kogo.

Wąsaty i brodaty, w czarnym meloniku i czarnych, długopołych ubraniach od wiedeńskich krawców, szytych Anno dazumal, za czasów, gdy krawiec był Hoflieferantem, to jest Dostawcą Dworu, a materiał tak oczywiście dobrym materiałem, że nikomu nie przychodziło do głowy użyć słowa „setka", wpierał podbródek w wycięcie wysokiego kołnierzyka o odgiętych rożkach, a dłoń obciągniętą lawendową rękawiczką z kozłowej skórki opierał na srebrnej rączce hebanowej laseczki. I tylko błękitny obłoczek dymu z cygara Henry Clay był hołdem złożonym młodszemu kontynentowi, o tyle młodszemu, że prawdziwa w całym znaczeniu tego słowa EUROPA, jedyna ojczyzna i kolebka kultury, cywilizacji, mogła pozwolić sobie na gest kurtuazyjnej afirmacji Nowego Świata, co tym właściwsze, że już pierwsi jego przedstawiciele zawitali do Uzdrojowiska, które nie miało wprawdzie wszechświatowych ambicji, mile jednak gotowe było witać gości z antypodów, a ich przyjazd mógł oznaczać nawrót świetności czy choćby tylko chwilową poprawę interesów.

A interesa stały niezbyt świetnie – i dlaczego właściwie? W brzozowej altanie wojskowa orkiestra grała melodyjne walce i skoczne polki–mazurki, kuracjusze pociągali przez rurki wody o nazwach zaczerpniętych z naszej mitologii rodzinnej: „Tytusa", „Klaudię" .czy „Celestynę", promenując od źródła ozdobionego gipsową statuą Matki Boskiej z Lourdes do Łazienek czy Kurhauzu, dzieci jeździły na osiołkach albo bryczuszką zaprzężoną w kucyki i wszystko było tak właśnie, jak być powinno, godnie i przyzwoicie, zupełnie jak przed tym fatalnym 1914!

Nie, nie widać podstaw do zbytniego niepokoju, choć byli tacy – i to w najbliższej rodzinie! – którzy przepowiadali, że musi nastąpić rychły zmierzch Uzdrojowiska, o ile nie podejmie się wysiłków, aby nie szczędząc kosztów „inwestycji" – to zasłyszane gdzieś słowo poważnie brzmiało – przeprowadzić modernizację. Ale zapytani, na czym to właściwie ma

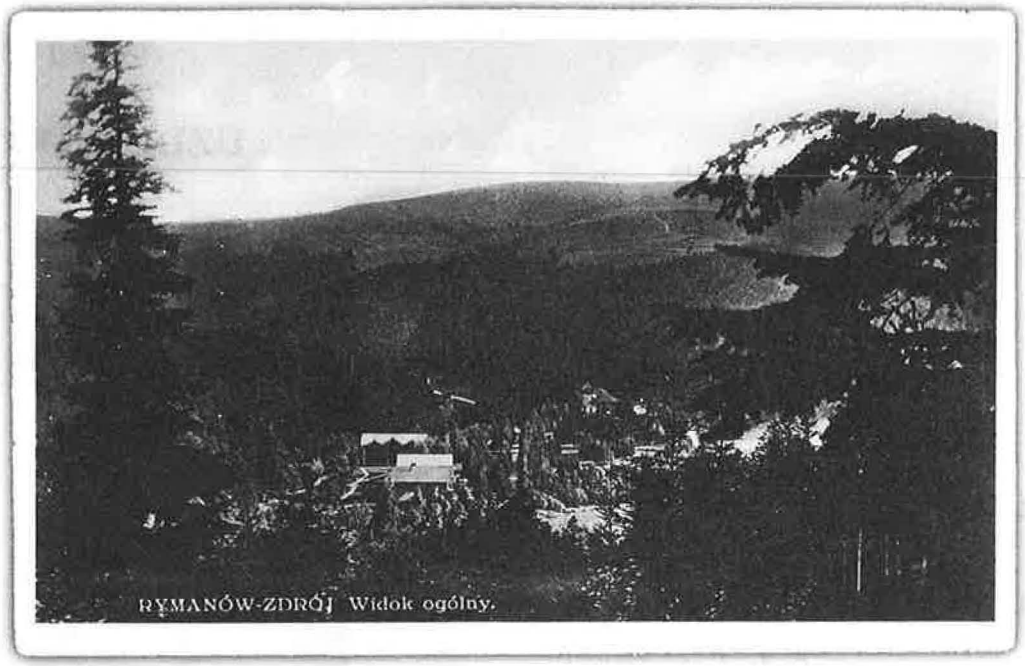

Rymanów Zdrój. Widok ogólny.

polegać owa „modernizacja", naraz milkli i widać dość było ludzi statecznych, godnych, przyzwoitych i rozsądnych, co nad modne plaże i hałaśliwe kurorty przedkładali to właśnie nieco senne, nieco leniwe Uzdrojowisko, gdyż kuracjuszy nie brakło i sezon zapowiadał się pomyślnie.

Nieproszeni reformatorzy chcieli zacząć już nawet od samego słowa „Uzdrojowisko", ponoć niemodnego, już nieprawidłowego nawet; żądali, aby na papierze firmowym, w prospektach, nagłówkach kwitów kasowych i receptariuszy lekarza zastąpić je lepiej ponoć brzmiącym „uzdrowiskiem" czy choćby „zdrojowiskiem". A przecie w źródłosłowie Uzdrojowiska co trzeba właśnie zawarte: zdroje z czyniącą cuda wodą mineralną, leczącą niemal wszystko, i zdrowie, i uzdrowienie, a i innych ponęt, niewinnych radości i rozrywek oczekuje stały bywalec, któremu panna Felusia rok w rok nabiera dzbankiem, zanurzonym na długim, rozczepionym u końca kiju, „Tytusa", „Klaudię" bądź „Celestynę": bijące na dnie cembrowanych kamieniem studzien wody żywych źródeł.

A jakie powietrze jodłowo – żywiczne, kwietno – sienne! A legenda jaka! Bo oto gdzieś w trzeciej ćwierci minionego wieku krówki z górskich pastwisk zielnych, z połonin, z polan nagrzanych słońcem, z uroczysk poziomkowo – malinowo – jeżynowych, ku rozpaczy pastuszków próżno starających się utrzymać w słabych dłoniach łańcuchy i powrozy, rwały się nad Tabę lizać słone kałuże zaskórnych wód, występujących na podmokłe łęgi. Obrazek pastoralny i coś w nim z Trzykrólskiego Święta: padają bydlątka na kolana, odkrywając cudowne własności alkalicznych szczawów.

Wkrótce też jakaś sława – bodaj że rektor Dietl! – wydaje orzeczenie bardzo naukowe, ogłoszone w gazetach, i już pierwsi goście, krewni i znajomi zjeżdżają do leśniczówki trochę z nudów, trochę dla wód, z rodzinnego sentymentu i dla poziomek leśnych czy innych jagód, zbieranych teraz pilnie przez pastuszków w dzbanki i podawanych ze świeżutką śmietanką, we właściwej zaś porze znoszących króbki nie mniej aromatycznych rydzyków.

Obok powstawał już pierwszy pawilon z bali sosnowych, ni to blockhaus, ni to zakopiańska willa – jeszcze chwila, a przedsiębiorca zainstaluje piękne miedziane wanny do kąpieli i drewniane kadzie do borowiny, toczące się po szynach wprost z błotnego bajorka do kabin kąpielowych, gdzie pachnie żywica kapiąca z jasnych oszalowań.

A jeszcze też prababka moja herboryzowała, zbierała na górskich łąkach i polanach mądre ziółka, po trochu do zielnika, po trochu do domowej apteczki, w które chętnie napary różne kuracjuszom sporządzała, więc też coraz częściej musiała – „nasza pani pasać się na łące" – jak mawiała ludność okoliczna, a rustykalno – homeopatyczna sława Uzdrojowiska krystalizowała się i tężała niczym sól w warzelni, skąd szła już w świat w zgrabnych pudełeczkach z wiórków, ozdobionych litografowaną postacią damy w wielkim kapeluszu, popijającej przez rurkę któreś z wcale przyjemnych w smaku wód, w cieniu szkarłatnej umbrelki.

Tąż damę widziało się rokrocznie na prospekcie rozsyłanym przez Zarząd Uzdrojowiska dość wcześnie, aby odbiorca odczytawszy długą listę schorzeń, które „leczyły się" w Uzdrojowisku, zdołał odkryć

w sobie symptomy jednej z nich, decydując się zarezerwować – na długo przed sezonem miejsce w którymś z wygodnych hotelowych pensjonatów o nabożnych nazwach: „Pod Matką Boską" czy „Opatrzność", lub w hotelach o nazwach heraldycznych: „Leliwa", „Gozdawa", czy też w jednym z tanich domów kuracyjnych nazwanych patriotycznie: „Orzeł Biały", „Pogoń", „Krakus" i „Wanda".

II

Patriotyzm – dla klas uboższych, pobożność i snobizm – dla klas wyższych, patriarchalno – klerykalna atmosfera roztaczająca się w górskim, aromatycznym powietrzu, umiarkowane ceny i nie podrabiana swojskość Uzdrojowiska wynikająca z jego stosunkowo niedawnych, skromnych, wiejskich i gospodarskich początków, ściągały klientelę solidną i finansowo (na szczęście nie fizycznie!) zdrową, zapewniając przedsięwzięciu dyskretne kwitnienie. Nie był to, broń Boże, pełen jaskrawego blasku rozkwit róży czy piwonii, a skądże znowu! lecz zaledwie nieśmiałe przezieranie spośród gęstwy traw jakiegoś krokusa czy gencjany – roślin niepozornych, lecz godnych uwagi i ochrony, sprawiających radość z ich odkrycia. I tym przyjemniej było czuć się tym wybranym, wtajemniczonym, wprowadzonym, że Uzdrojowisko żądało pewnych gwarancji, rekomendacji, dalekie od tego, by przyjmować byle kogo, a w kancelarii Zarządu piętrzył się przygotowany do wysyłki plik blankietów głoszących:

„Z prawdziwym żalem powiadomić musimy JW Pana – JW Panią, iż wobec uprzedniego rezerwowania wszystkich absolutnie miejsc wolnych przez Naszą Stałą Klientelę, nie będziemy, niestety, mogli zadośćuczynić wyrażonym przez JW Pana – JW Panią życzeniom przepędzenia sezonu w naszym Zakładzie. Pozostajemy z należnym szacunkiem. Zarząd".

Ta nienaganna w formie, lecz jakże dotkliwa w treści korespondencja zamykała nieodwołalnie wstęp do Uzdrojowiska niepożądanym kategoriom kuracjuszy, toteż kierowali się do pobliskiego, mniej wybrednego w doborze gości konkurencyjnego Zakładu – położonej za górką miejscowości kąpielowej, gdzie umiejętnie korzystano z napływu nowej klienteli, rozbudowując urządzenia zdrojowe, miejsca służące dwuznacznym rozrywkom i atrakcjom, ponoć nawet przyjmując niemałżeńskie pary! Mimo to jednak „Nasza Stała Klientela" pozostała wierna Uzdrojowisku, któremu surowa postać mego dziadka, pewna wielodzietna rodzina o głośnym nazwisku, przybywająca tu corocznie popielatą Hispano–Suizą z szoferem w bogato szamerowanej liberii, jak też opinia solidności, przyzwoitości, nawet surowości obyczajów – ustaliła renomę przyciągającą klan bogatego mieszczaństwa: rejentów, adwokatów, sędziów, średnich przedsiębiorców, hurtowników i kupców odpowiedzialnych branż czy profesorów gimnazjalnych. Uzdrojowisko odwiedzały też chętnie rodziny ziemiańskie, których konie i psy przydawały staroświeckiego wdzięku deptakowi i promenadzie, nawet pewien laureat Akademii Literatury przybywał tu co sezon z żoną, sennym synkiem i obdarzoną barwną urodą córeczką. I choć Uzdrojowisko nie było chętne cyganerii artystycznej – skądże by! – przecież ceniło sobie i tych gości, zwłaszcza że pisarz ów omal że był został laureatem Nagrody Nobla, co w jakiś sposób równoważyło nieprzyjemny fakt, że w ogóle zajmował się literaturą, i to wyrażając poglądy, ach, niestety, radykalne!

Proszę nie myśleć jednak, że Uzdrojowisko pozbawione było jakichkolwiek rozrywek! Nie! Lecz rozrywki te, godne, pouczające, ze wszech miar właściwe, krzepiły ciało, pobudzały myśl, rozwijały artystyczne skłonności i uczucia patriotyczne.

Odbywano przeto gromadne wycieczki do ruin zamkowych w Odrzykoniu, skąd roztaczał się rozległy i malowniczy widok aż na węgierską stronę i gdzie snuły się legendy o koniu, który odżył napiwszy się węgierskiego wina, o niepobożnych prząśniczkach, co przędły w niedzielę i słusznie zamienione zostały w te oto skałki, o zakopanych tu gdzieś beczkach węgierskich dukatów – „może stoją państwo właśnie na skarbie ani wiedząc o tym!" – mówił przewodnik, a wszyscy spoglądali naraz pod nogi i odruchowo cofali się o krok. To znów rozpalano na leśnej polanie ogniska z chrustu, prowadzono korowody i skakano przez ogień, nad którym piekły się w kłębach jałowcowego dymu nadziane na patyk kiełbaski, o zmierzchu zaś śpiewano patriotyczne pieśni o ułanie na widecie i dziewczynie plotącej wianek z róż, o Dwernickim, Kozietulskim czy – niestety, duch czasu, duch czasu! – Strzelcach, Oleandrach i Pierwszej Brygadzie... Zbierało się też jagody i grzyby, mnóstwo grzybów, tak że pod koniec sezonu werandy, gorszych zwłaszcza pensjonatów, obwieszone były pachnącymi girlandami i wiankami prawdziwków, a grzybki te pełniły ważną rolę w aktywach Zakładu, bo oto, odnajdywane w wigilijnych „uszkach", w wielkanocnym barszczu czy w pierożkach postnych, w niejednym domu przywodziły pamięć uroków letniego sezonu – i to przy licznie obsadzonym rodzinnym stole – skłaniając do głośnych wspomnień i podjęcia postanowienia, aby w najbliższym sezonie znów wybrać się na niezrównane grzybki. I nadchodząca we właściwym czasie za sprawą poczty dama w wielkim kapeluszu, popijająca przez rurkę „Tytusa", „Klaudię" czy „Celestynę", łatwe miała zadanie.

Nie brakło i poważniejszych, podnioślejszych wydarzeń: wspaniałość ukwieconych i rozśpiewanych nabożeństw majowych, odprawianych przy źródle pod Matką Boską z Lourdes, skłaniała do refleksji nad nadprzyrodzonymi, ozdrowieńczymi właściwościami miejscowych wód; barwna procesja Bożego Ciała, wyruszająca z zakładowej kaplicy ku ołtarzom rozstawionym w altanach deptaku, uświęcała srebrnym dźwiękiem dzwoneczków i zapachem kadzideł

doczesność starań podejmowanych dla poratowania zdrowia; przepych barw i aromatów Matki Boskiej Zielnej łagodził smutek, jaki sprowadzała myśl, że to już schyłek letniego sezonu. Sprawy doczesne stapiały się z wiecznymi i było potem o czym myśleć w czasie regulaminowych, zaleconych przez ordynariusza wędrówek promenadą od źródeł do Kurhauzu, nim dadzą się odczuć błogosławione dla trawienia skutki picia mieszanki trzech wybornych wód, których kombinowane działanie nie ustępowało zdaniem lekarskich autorytetów sławnym wodom Vichy.

Wśród krzepiących serce rozrywek wymienimy też święcenie sikawek i zawody straży pożarnej, organizowane przez dziadka na łączce za kościołem. Był on Honorowym Ogniomistrzem i wysoko cenił sobie tę funkcję, nie szczędząc środków na rzeczone sikawki, błyszczące hełmy i grzmiące trąby orkiestry strażackiej. Z płomieniem w oku uwijał się wśród pomp, drabin i bosaków, a z parcianych węży strumienie wody tryskały efektownymi fontannami na wysokość drugiego piętra! Dziarscy, zwinni strażacy doskonałe sprawiali wrażenie i kuracjusze wracali do swych łóżek przekonani, że spać mogą spokojnie pod opieką świętego Floriana, choć wille i pensjonaty budowane były z drzewa, a ustawione w korytarzach nieporęczne, ciężkie, czerwono lakierowane gaśnice – z niejasnymi instrukcjami „zdjąć z wieszaka, odwrócić, wybić zawór aż do zerwania plomby i kierować strumień w płomienie" – nie najmilsze wywoływały myśli.

Uzdrojowisko znało też bardziej płoche, światowe imprezy: w wielkiej, „lustrzanej" sali Kurhauzu występowały niekiedy Loda, Mimi i Zizi Halama w urozmaiconym programie rewiowym, śpiewała niekiedy sama Hanka Ordonówna! Jej uznany status wielkiej gwiazdy zmuszał dziadka, aby wysyłanego na stację w Kalwarii szofera, prowadzącego odkrytego Fiata – Saharę, zaopatrzyć w wielki bukiet pąsowych róż; a wtedy babka moja, zrozpaczona spustoszeniem dokonanym przez ogrodnika w jej rabatach, oglądając ogołocone z kwiatów sztamy i krzewy, nabierała podejrzeń, że nie jest to tylko hołd składany Sztuce i – rzecz doprawdy godna potępienia! – tracąc panowanie wykradła raz szoferowi bukiet z tylnego siedzenia wozu. Nieszczęsne róże spłynęły Tabą, gwiazda dała koncert w konkurencyjnym zakładzie za górką, dokąd leśnymi ścieżkami pobiegli nasi kuracjusze, a dziadek blady z furii dokonywał jakichś okrytych tajemnicą kroków, by przecie skłonić kapryśną wielkość do odwiedzenia Uzdrojowiska.

Jego staroświecka galanteria odniosła snadź sukces, a babka moja srodze została ukarana za porywy serca i namiętności, bowiem zdumieni i zachwyceni kuracjusze ujrzeli wkrótce ubóstwianą Ordonkę, prowadzoną przez dziadka na schody willi „Pod Jarząbkiem", gdzie przybyła z Nieczajny Antosia dwoiła się i troiła, by swój kunszt kulinarny przeciwstawić uwodzicielskiemu czarowi wielkiej artystki. I mimo pewnej ironii, z jaką dziadek, wciąż jeszcze gorący wielbiciel pięknych pań, zwracał się do Ordonówny „pani hrabino", przecież dała koncert, którego szczytowym punktem był „Lincoln zatonął – straszna rzecz!", nieodparcie wyciskający łzy.

A jednak malkontenci mówili, że Uzdrojowisko podupada, przywołując pamięć o Dawnych Dobrych Czasach, za Cesarstwa oczywiście, gdy do Uzdrojowiska ściągał na wyścigi świat prawdziwie wytworny, a odbywane tu meetingi cieszyły się rozgłosem w całej Galicji, ba, w całych Austro – Węgrzech. Że młode pokolenie, „które już nie znało prawdziwego życia", odnosiło się z drwiącym sceptycyzmem do opowiadań o czasach, kiedy do Uzdrojowiska zjeżdżały całe rodziny z liczną służbą, prowadząc za sobą konie cugowe, pojazdy i wierzchowce, starzy bywalcy wydobywali pożółkłe numery „Hodowcy Koni" i patrzcie: w rubryce „Termina wyścigów" znajdywałeś nasze Uzdrojowisko wpisane między tory Wiednia, Alagu, Siófoku, Budapesztu, Klubu Jazdy Panów w Preszburgu, Totis i Kottingbrunn, nie mówiąc o Lwowie i Krakowie.

A jeśli niewierni wątpili jeszcze, to przewertowanie numeru owego pisma, pełnego „Memorial Stakes Hr. Jana Tarnowskiego", „Nagród Austryackiego Jockey – Clubu", wiadomości, że „Podpor. Otton von Benischko kupił Fra Diavolo, wał. kaszt. ur. 1899, po Intrigant od Findelkind, po Major Arthur (G.B. M.K. Vol. VII pag. 146) od barona Karola von Phanner", że „Galicyjskie Towarzystwo Chowu Koni i Wyścigów" wykazało ujemny bilans, że Arystofanes pisał o kłopotach finansowych właścicieli koni wyścigowych, że „Fais ton chemin – użyteczna córka Gagi i Brin d'Or – i jej 3–letni półbrat po Or–vert przybyły z Galicyi do Alag, do zakładu pana Moshack", „w Jaszczwi stanowi ogier Britannicus, taksa stanowienia 30 koron i 10 koron za stajnię", zaś „Pełna krew, źrebięta urodzone w roku 1899: Markiza Guy de Boisherbert Contadina urodziła klaczkę gniadą z gwiazdką, obie tylne nogi nad pęciną białe, po The Donnerhorn. Contadinę pokrył The Donnerhorn" – słowem, po przewertowaniu tego pisma niewierni gotowi byli sądzić, iż przed rokiem 1914 świat zamieszkiwali nie ludzie, a Centaury, i dotykali ostrożnie czoła. Bardziej dociekliwi zasięgali języka u miejscowej ludności i w zarosłym chwastami pastwisku doszukiwali się regularnej elipsy dawnego hipodromu.

III

Jednakże pytania nasze o ową zamierzchłą, sportową sławę Uzdrojowiska pomijał jakoś dziadek milczeniem, choć zamienione już bądź na garaż, bądź na remizę strażacką stajnie, w których za sikawkami odnajdywaliśmy szkielety gigu, buggy czy victorii – modnych i eleganckich zapewne niegdyś pojazdów, świad-

czyły równie dobitnie, jak stare numery pism o koniarskich jego zamiłowaniach.

Tajemnica okrywała też powód zerwania przez dziadka stosunków z domem jego brata. Opodal Uzdrojowiska, za rzeką, górą i lasem, wznosił się zapadły w ziemię dwór, dziwne, rozbudowane w bezlik skrzydeł i pokrętnych korytarzy domiszcze, nakryte pochylonym ze starości gontowym dachem, a wokół zapuszczony ogród rósł bezładnymi, choć malowniczymi kępami starodrzewu. Za pastwiskami, okólnikami leżały paddocki, na których bezlik moich kuzynów „z tamtej linii" – jak chłodno mawiano – wałkonił się i hasał z tabunkiem źrebaków. I ledwie spojrzeć śmiałem w tamtą zakazaną, a jakże pociągającą stronę! Nie umiałbym też zapewne wymienić imion tych moich coś z czternastu kuzynów i kuzynek, zaś ojca ich, zażywnego epikurejczyka o czerstwym obliczu i sumiastym wąsie oglądałem może raz w sezonie, gdy na zestawionych stolikach werandy „Wiedeńskiej Cukierni" w Kurhauzie wyprawiał suty podwieczorek, zasiadając wśród nieprzeliczonej chmary dzieci za niewiarygodnej wielkości górą pistacjowych, orzechowych i czekoladowych lodów. Obraz tej płodnej i rozpustnej rozrzutności, wspartej salwami śmiechu dobiegającymi z werandy, blaskiem krawatów w groszki i jaskrawych wstążek na kapeluszach, widok przepychu nagich ramion, wyłaniających się z pienistych falban głęboko wyciętych sukienek o zbyt szerokich, szeleszczących spódnicach, figle psów, dźwięk jasnych głosów – przyciągały publiczność. Po chwili tłum otaczał werandę, a oto już Cyganie przepychają się, by ośmieleni przyzwalającym gestem, oklaskami, monetą rzuconą przez wuja odegrać równie jaskrawego, wesołego i sentymentalnego czardasza.

Wszystko to, wyznaję, stanowiło nieprzepartą pokusę, ciekawiło i olśniewało, aż na myśl przychodziły mi naraz podsłuchane kiedyś słowa dziadka o wuju: „To błazen, a jego zachowanie – na granicy skandalu!"

Toteż jedynie z dala ośmielałem się przypatrywać hucznej biesiadzie zakończonej pod wieczór pożegnaniem: rozdzielaniem napiwków wachlującym serwetami kelnerom, uroczystym marszem granym przez Cyganów, histerii cieszących się z odjazdu foksterierów, rżeniu i wspinaniu się koni dosiadanych przez kuzynów, kuzynkom gramolącym się do breku wśród pi-

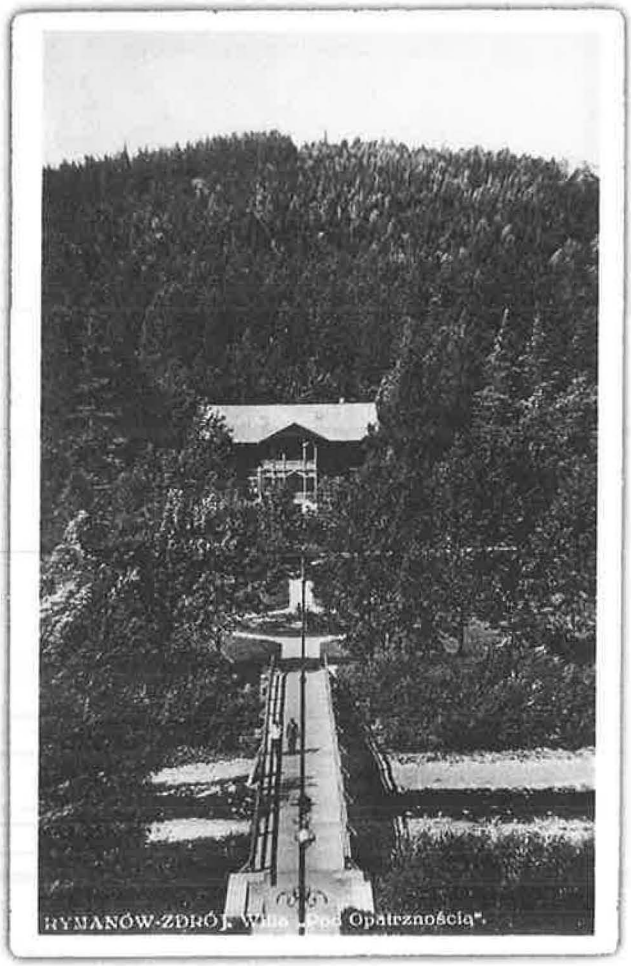

Rymanów Zdrój. Willa „Pod Opatrznością"

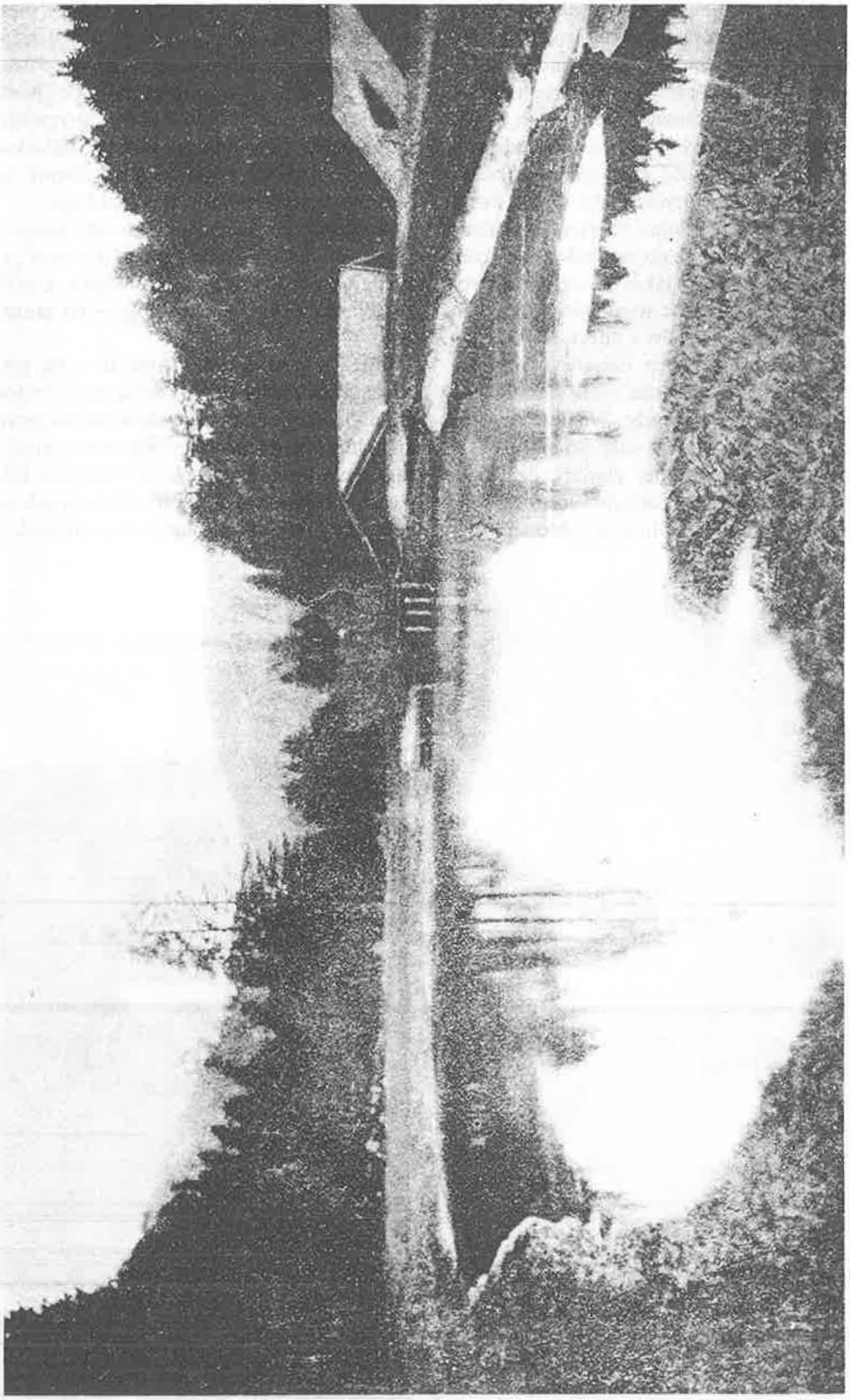

RYMANÓW-ZDRÓJ. Widok na Staw

sków, krzyków i rozwianych falban – po czym kawalkada ruszała. Ze śmiechem i śpiewem przetoczyła się przez Uzdrojowisko, przeprawiła przez bród na rzece, wspięła na górę, zniknęła w lesie, by po chwili ukazać się na łąkach i ciągnąć nimi aż do dworu, który teraz widać było wyraźnie: sylwetka gontowego dachu czerniała wśród drzew na tle czerwonej łuny zachodu.

Za sprawą Antosi miałem przecież dowiedzieć się czegoś o bezpośredniej przyczynie zerwania rodzinnych stosunków, ograniczonych już teraz jedynie do przesyłania chłodnych życzeń świątecznych i wzajemnego „rzucania" może raz w roku biletów wizytowych. Relata refero; historia może po części prawdziwa uległa zapewne dramatycznej stylizacji, gdyż Antosia, wykazująca niewątpliwy zmysł literacki w swych opowieściach o cudach świętych i błogosławionych, o strzygach, wampirach, upiorach i zakopanych skarbach, gotowa była każdą rzeczywistość przetworzyć w legendę, za sprawą mało dotąd zbadanego geniuszu ludowego podania.

„A bo to nasz pan trzymał kunie i brat naszego pana trzymał kunie. I te kunie goniły jedne drugie, a jakie nagrody dawali! A to kubek szczerozłoty pełen dukatów, jak to za Cysorza, a to konew ze srebra, a to świętą figurę. Aż jedną razą naszemu panu to Żyd czy Cygan, koniokrad pewno, przyprowadził aż z Węgier konika białego – jak mleko! Piękny konik był, zapalił się nasz pan, mówi: – Kupuję! Ile chcesz? – A ten psiajucha dużo chciał, ja ta nie wiem, sto czy tysiąc, wtedy to wszysto na floreny albo na dukaty liczyło się. To nasz pan mówi : – Dziś nie mam tyla, postaw kunia na stajni, przyjdź jutro, to ci dam. – Dobrze! – mówi tamten i kunia odprowadza, nasz pan myśli: do stajni prowadzi. Ale gdzie ta, przechera! poszedł z kuniem do dwora. Tamten pan ze dwora tyż był za kuniami taki zwaryjowany jak nasz pan, złoto miał, zapłacił zaraz, kupił. Nasz pan nic nie wie, przy ogniu siedzi, rączki zaciera, cieszy się, takiego kunia ma, że wszystkie nagrody jego – tak myśli. Aż każe stajennego wołać, pyta, jak mu się widzi kuń, czy żre, czy rży, czy nóżką grzebie. A stajenny, Kulawy Jakub wtedy za stajennego był, po łbie się drapie, mówi: – Nijakiego konika nowego nie masz u nas na stajni, mówią, jaśnie pan ze dworu konika kupił. – To nasz pan się zrobił bieluśki jak papirek, Jakuba za kołnierz, pyta : – Nie kłamiesz, prawda to? Mój brat rodzony to by mi ta kunia nie podkupił! – A Jakub: – Na Boga żywego, prawda! – To nasz pan bez kapelusza, bez czapki wyleciał w noc, biegnie do dwora, do stajni wpada, patrzy: jest kuń! Wyjął leworwer – i kuniowi w ucho! A potem to zostawił taki papir na końskim ścierwie, żeby panu ze dwora dali w banku dziesięć razy tyle złota, ile kuń wartał. I wrócił się nasz pan, całą noc nie spał, po pokoju chodził, a rano zawołał Żyda, wysprzedał wszystkie kunie, co my przy wyścigach chowali, tylko się fornalki nieczajeńskie ostały. I nasz pan już nigdy kuni nie chciał mieć, kuniami jeździć, to sobie automobil stalował w Hameryce, co na żaglowcu do Tryjestu przysłali. A z panem ode dwora to się już nie znają od tamtego czasu, ja nie wiem, mała byłam, głupia, ale mnie tak mój tato mówił, a inni także samo."

IV

Choć starym, bardzo już starym bywalcom brak było może wyścigów – i może też innych rozrywek, jakie kiedyś tolerowało Uzdrojowisko sądząc z odkrytych na strychu kolorowych pocztówek, dzieci się tu nie nudziły. Pocztówki zaś, kompromitujące pocztówki, które mi odebrano zaraz, ledwiem się niebacznie pochwalił łupem, wyglądały tak:

Na jednej młoda pani od szyi po pięty w pasiastym trykocie, przybranym na kołnierzu i przy mankietach falbankami, stała pod tuszem, a zza zasłony przyglądał się jej przez monokl młody; wąsaty pan, uchylając słomkowego kapelusza. Podpis brzmiał:

Przyjechaliśmy najszczęśliwiej
w towarzystwie hrabi Teosia,
staliśmy razem już pod priessnitzem!
Twoja Córeczka Zosia.

Na drugiej zaś pocztówce oglądaliśmy tąż parę: jego za kierownicą czerwonego automobilu typu landaulette, w pilotce i w wielkich okularach, ją zaś w kapeluszu obwiązanym woalką, z powiewającym na wietrze futrzanym szalem; przed samochodem rwały się do lotu spłoszone gęsi. I napis :

Mam automobil najnowszy system,
mam też dziewczątko z sercem przeczystem!
O jakże słodko, o jakże mile
jest do wód jechać automobilem!

Aby zaś uniknąć wszelkich wątpliwości, dokąd udaje się owa pikantna brunetka z eleganckim światowcem, drogowskaz u boku drogi wskazywał kierunek jazdy: UZDROJOWISKO.

Cóż, zmieniły się czasy, obyczaje i klientela, obecnie zwłaszcza klientelę najmłodszą, dzieci, próbowało pozyskać sobie Uzdrojowisko, dbając o nasze rozrywki.

A więc magik–iluzjonista występował w Kurhauzie i nie brak było w jego repertuarze królików wyciąganych za uszy z cylindra, powiewnych chusteczek rozkładających się na oczach w olbrzymie, wielobarwne bukiety lub zmieniających się w roztrzepotanego gołębia, stuzłotowych banknotów znajdowanych w rozkrawanych na oczach publiczności kartoflach, złotych zegarków tłuczonych najpierw w moździerzu na proszek i odnajdywanych zaraz w kieszeniach siedzących na sali, zażenowanych, choć Bogu ducha winnych tatusiów, za których rumieniły się dzieci, choć

wszyscy wiedzieli, że padli ofiarą szelmowskiej sztuczki.

- Urządzało się też zabawy kotylionowe z mnóstwem serpentyn, confetti, papierowych czapeczek i czekoladowych tortów garnirowanych bitą śmietaną, pikniki i kawalkady, a wszystko to służyło jednemu właściwie celowi: dzieci uczyły się istoty społecznych podziałów i nierówności, uczyły się obserwować i rozróżniać, pojmować te subtelne odcienie, z jakimi mamusie, bony, guwernantki i wychowawczynie zabiegały o znajomości z kimś, z kim „można się było bawić", lub odtrącały tych, „z którymi nie należy się bawić". Wprawdzie u wód dopuszczalny był pewien egalitaryzm na wspólnych wycieczkach, imprezach i zawodach sportowych, w grze w piłkę, w serso czy krokieta – jednakże trzeba się było nauczać odróżniać, kto jest tylko chwilowym partnerem niezbędnym do złożenia partii, kogo ewentualnie wziąć można na podwieczorek w cukierni Kurhauzu, kogo zaś zaprosić do nas, do domu „Pod Jarząbkiem", by w dni deszczowe spędzać długie godziny przy nakręcanej kolejce, przeglądaniu książek z obrazkami, grze w halmę, pchełki czy remi–brydża, a potem, już po sezonie, kontynuować z tym kimś znajomość, może nawet przyjaźń opartą na jedynej trwałej podstawie: na wspólnocie interesów. Hasła szczytnej, chrześcijańskiej i demokratycznej równości były wprawdzie małym adeptom życia światowego wpajane gorliwie, lecz każdy dzień w Uzdrojowisku uczył dyskretnego i prawdziwie eleganckiego kompromisu pomiędzy teorią a praktyką.

Najmilszą rozrywką kuracyjnych gości było i jest zawsze przyglądanie się sobie nawzajem, zbieranie informacji o nowo przybyłych, solidnych wiadomości od zasługujących na zaufanie wspólnych znajomych i lżejszych ploteczek od pensjonatowej służby, które to nowiny, starannie rozważone, dają dopiero asumpt do pierwszych, dyskretnych ukłonów i uśmiechów, rozmówek z kilku słów na temat pogody i obsługi. Wreszcie prezentacja, podwieczorek czy obiad w Kurhauzie gdzie za dwa złote spożyć było można doprawdy pyszny i obfity posiłek z lodami a la Melba dla pań, z niezrównanym piwem „z browaru arcyksiążęcego w Żywcu" dla panów, aby następnie wybrać się na wycieczkę wynajętym na wsi landem.

V

Najchętniej zaś zawsze obserwowano przyjazdy. Wprawne oko bywalca mogło jednym spojrzeniem określić, do jakiej kategorii zaliczyć nowo przybyłych.

Już od dnia otwarcia sezonu zjeżdżali autobusem – „omnibusem", jak mawiał dziadek – zgrzani, zmordowani ojcowie licznych rodzin z zastraszonymi i nieporadnymi żonami, otoczonymi gromadką pstro ubranych dzieci, zaopatrzonych w wędki, siatki na motyle i piłki – i już wiadomo było, że okupują oni te gorsze pensjonaty o patriotycznych nazwach, owe „Orły Białe" i „Pogonie", pozbawione komfortu, łazienek i waterclosetów, umożliwiające natomiast przyrządzanie posiłków w ogólnie dostępnych kuch-

Rymanów Zdrój. Łazienki.

niach. Nazajutrz nieszczęśni ojcowie powracali do miasta opłaciwszy z góry pobyt żon i dzieci – przy czym nie obywało się bez przykrych targów i utyskiwań w kancelarii Zarządu. Gdy tylko Zarząd, to jest dziadek, wzruszony czyjąś oczywistą biedą, zgadzał się na zniżkę, na „rabat" – już Zarząd oblegany był przez innych, domagających się, grożących, powołujących się bądź na jakieś niesprawdzalne zasługi, bądź doznane w życiu krzywdy i niepowodzenia.

Lecz gdy tylko ojcowie wyjechali, wszystko uspokoiło się, umilkło i żony ciche, bezbarwne snuły się po sklepikach, kupując „korzystnie" tanie miejscowe wyroby wędliniarskie i pieczywo, przysiadały z robótkami na ławkach, roztrząsając z innymi paniami zalety i wady instalacji, skrupulatnie piły o oznaczonych porach ożywcze wody i tylko niekiedy z niespodziewaną gwałtownością ingerowały w dziecinne sprzeczki i awantury.

Bandy ich dzieci oblegały automaty ze słodyczami, obstępowały nieszczęsne kuce i osiołki, to zasypując je pieszczotami, których gwałtowność narażała na szwank cierpliwość tych zacnych i potulnych zwierząt, to drocząc się z personelem i wymuszając darmowe przejazdy, to znów gromadnie taplały się w płytkiej rzece, budując z kamieni zapory wodne, ganiały się i rzucały piłką.

Publiczność ta, raz zadomowiona i oswojona, nie przysparzała poważniejszych kłopotów: ot jakieś przygaduszki z pokojówkami o pobrudzone przez dzieci podłogi i pościel, jakieś wybite piłką okno, automat zablokowany guzikiem, który nie zastąpił przecie pięćdziesięciogroszówki. Ale oto nadciągała już następna partia kuracjuszy: ci nadjeżdżali ze stacji fiakrami załadowanymi solidnymi kuframi ze świńskiej skóry. Panie w kostiumach z płótna czy serży, panowie w jasnych flanelowych garniturach, w kapeluszach panama, z cwikierami na nosach – jeśli były z nimi jakieś dzieci, to zazwyczaj tylko senna panienka w bluzce z marynarskim kołnierzem i z długim warkoczem. I to była właśnie ta najważniejsza część publiczności; wypłacalna i solidna klasa średnia. Zawczasu rezerwowano sobie listownie pokoje w „Krystynie", „Zofii", „Opatrzności" czy „Barbarze", w cichych, dyskretnie ukrytych za drzewami pensjonatach o renomowanej kuchni, prowadzonych przez godne panie, dobrze znające swą klientelę i sprawnie dyrygujące kokieteryjnymi pokojówkami. W hallach ozdobionych palmami, w ogrodach z agawą słyszało się: „drogi radco", „szanowny profesorze", „panie mecenasie", nawet i „przewielebny księże kanoniku" – albo „księże prałacie"! Tak, żadnych kłopotów z tymi gośćmi, z roku na rok zajmującymi te same pokoje, dbałymi o swą reputację, znającymi prawa, ale i obowiązki i starannie odliczającymi napiwki: nie nazbyt wysokie, lecz takie właśnie, jakich się służba akurat spodziewała. Wszystko było odmierzone, zaplanowane i przewidziane, żadnych niespodziewanych przyjazdów, żadnych nagłych wyjazdów – sumiennie, dostojnie i starannie wykorzystywano czas przeznaczony na odpoczynek i można było liczyć na gości tych jeszcze na wiele, wiele sezonów – chyba żeby, nie daj Bóg, jaki nieszczęśliwy wypadek, ale w tych kołach nie zdarzały się jakoś nieszczęśliwe wypadki.

Kiedy sezon dobrze już był zaawansowany, Maksym, który przebrany z liberii strzelca w uniform portiera pełnił teraz w Uzdrojowisku funkcje totumfackiego, szarej eminencji i najważniejszej właściwie persony, wychodził któregoś popołudnia z Kurhauzu na gościniec i mówił:

– Coś mi się zdaje, że teraz to dopiero prawdziwe państwo nadjeżdża!

Istotnie, z zakurzonych Lincolnów, Buicków i Chevroletów de Luxe wysiadały panie wojewodziny i wicewojewodziny, generałowe, pułkownikowe i prezesowe, w towarzystwie panien wojewodzianek i wicewojewodzianek, generałówien, pułkownikówien i prezesówien oraz różnej kategorii paniczów i jaśnie paniczów. Panie w sukniach od Myszkorowskiego nosiły dyskretną biżuterię, szoferzy wlekli walizy z lakierowanej skóry, nesesery z peccary i krokodyla, do dzieci przyjechały francuskie bony, angielskie i niemieckie guwernantki; dzieci grymasiły, panie oglądały pokoje, wymagały i żądały – i już wybuchały spory, już powoływano się na mężów i żądano błyskawicznego połączenia z Warszawą: apartament generałowej brygady miał salonik większy od gabinetu generałowej dywizji, niedopuszczalne, niedopuszczalne... Za to weranda pewnej damy wychodziła na północ, zaś dama ta związana była z... „Wy tu, na małopolskiej prowincji, nie wiecie może, kto ja jestem, ale..."

Awantura zataczała coraz szersze kręgi, a dziadek ani myślał stawiać jej czoła; chciał wrócić do Nieczajny, zaszyć się w góry, lasy, aby dalej od tej... Od tych... I mełł w ustach niewyraźne słowa, gdyż nie był zdolny do kompromisu i współżycia z ludźmi, którzy stanowili dla niego ucieleśnienie owej zadufanej w sobie nowej ery – tego, czego nie znosił już całkiem!

Ale tu cicho, skromnie, ze spokojną rozwagą wkraczała moja babka, która, co mówić! Uzdrojowisko po wojnie zapobiegliwością swoją znów jako tako postawiła, gdy dziadek gotów był machnąć ręką na cały ten świat, którego ani rozumiał, ani chciał poznać.

Więc babka uśmiechała się, perswadowała, łagodziła; z lektur kronik towarzyskich „Asa" i „Światowida" wiedziała wszystko, znała wszystkich. Sporne kwestie zostały w końcu najtaktowniej rozwiązane i nikt nie wyjechał obiecując w świętym oburzeniu zesłać na Uzdrojowisko gniewną niełaskę premiera – generała Sławoja – Składkowskiego, choć już do końca sezonu nieprzejednane generałowe zasiadały w dwóch przeciwległych rogach sali jadalnej i każda zgromadziła wokół siebie swój własny dwór, zazdrośnie nadzorowany krąg wielbicieli i pochlebców, a gdyby ktoś od jednego generalskiego stołu zamienił choć słowo z kimś od drugiego generalskiego stołu, to

Rymanów Zdrój
pod Kościuszką.

mogli się oboje natychmiast wynosić z Uzdrojowiska, pożegnać ze stanowiskiem, ba, najrozsądniej zapewne byłoby im palnąć sobie w łeb – toteż nikt nie podjął takiego ryzyka!

Tymczasem nadciągała nowa fala przyjezdnych: znad morza, gdzie sezon, ten najlepszy sezon Juraty i modnego właśnie Cetniewa miał się ku końcowi, nadjeżdżały jaskrawymi, sportowymi kabrioletami Ford – Eiffel, Aero Minor młode, opalone panny, za nimi zaś dudnili na ciężkich motocyklach Harley i Norton panowie. To barwne, wesołe, hałaśliwe towarzystwo lokowało się w „Leliwie" – pokoiki tej willi, urządzone „po angielsku" pikowanymi barwnym chintzem mebelkami i obwieszone kolorowymi grawiurami w myśliwskie i jeździeckie sceny, uznane zostały za „very smart", a francuskie okna pozwalały wieczorami dyskretnie opuszczać pokoje. O zmroku przekradano się gromadnie przez górę do owego pobliskiego, mniej eleganckiego Zdrojowiska, gdzie czekały wyklęte w naszym Uzdrojowisku rozkosze: cygańska orkiestra w przytulnej knajpce z dancingiem i gabinetami, w których uprawiano ponoć i gry hazardowe, roznegliżowane programy warszawskich variétes i amerykańskie filmy w kinie nazywanym przez dziadka pogardliwie „bioskopem". Dopełniał on dwuznacznych uroków owej miejscowości kuracyjnej, którą – jak w Uzdrojowisku mówiono – upodobali sobie szczególnie hochsztaplerzy, niebieskie ptaki, żydowska plutokracja i wszelki półświatek.

Jakkolwiek by nie było, towarzystwo z „Leliwy", choć hołdujące nagannym skłonnościom i ciągotkom: „Cóż, młodość musi się wyszumieć" – twierdziła moja babka – przecie dodawało wdzięku, wesołości i szyku deptakowi naszego Uzdrojowiska, gdy przechadzało się całymi bandami mówiąc dziwnym, niezrozumiałym dla profanów językiem, pełnym backhandów, forehandów, volleyów, smatchów, autów, Gordon – Bennetów, rekordów, challenge'ów, a ten nowy język sportu był dla starych bywalców Uzdrojowiska równie obcy, jak dla tej młodej generacji sportsmenów owe subtelne rozróżnienia pomiędzy rallye–papers a fox–hountingiem, steeple–chasem, triple–barrem i innymi podwójnymi słówkami, od których roiły się szpalty „Hodowcy".

Mnie zaś zbrasowane reje, sztormtrapy, bakburty, bejdewindy, grottopsle, bomkliwry, bramsle i marsle, lewe i prawe halsy, romby, a nawet groźnie brzmiący grotbombramsztaksel nie przerażały wcale. Słysząc te słowa, którymi przerzucali się świeżo upieczeni absolwenci kursu żeglarskiego w Jastarni, widziałem zdumiewającą zaiste metamorfozę: oto w oczach mych owi przystojni chłopcy, ubrani w kremowe drelichy i pantofle na sznurkowych podeszwach, zamieniali się naraz w jednookich, półnagich, zarośniętych wilków morskich o łbach przewiązanych czerwonymi chustami, spod których zwisał ciężki złoty kolczyk – i byłem gotów kochać ich, moich codziennych bohaterów, przemawiających językiem kapitana Blooda; odkrywałem właśnie uroki „wyspy skarbów".

Zaniedbane nieco dotąd korty tenisowe rozbrzmiewały teraz dźwięcznymi uderzeniami piłek o dobrze naciągnięte rakiety; białe spodnie, granatowe blezery, barwne fulary, pasiaste swetry i kraciaste skarpety do pumpów wnosiły akcenty wielkoświatowej nonszalancji; o świcie widziałeś w ciągnącej od

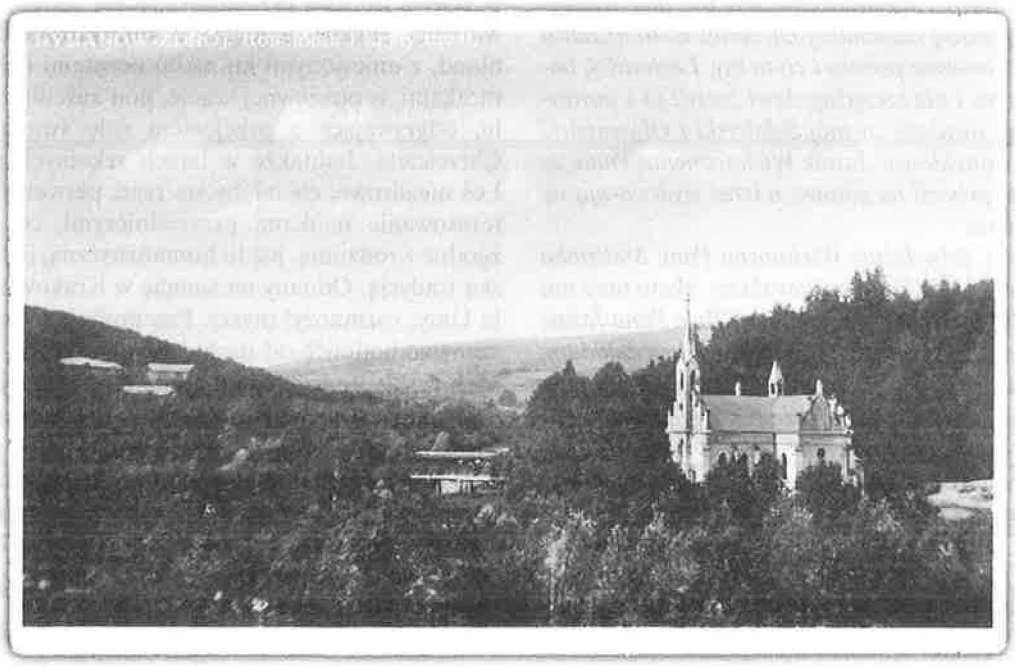

Rymanów Zdrój. Kościółek i kryty most.

Taby mgle smukłe sylwetki w dresach, pomykające deptakiem treningowym truchtem lub krokiem gimnastycznym; wieczorami opowiadano o zdumiewających, rekordowych celach wycieczek, osiąganych przez wytrenowanych w marszobiegach uczestników.

Orkiestra w brzozowym pawilonie – altanie grała teraz przed pustymi ławkami, za to z „Leliwy" snuły się patefonowe melodie modnych szlagierów, subtelne zapachy „sportowych" perfum „Cuir de Russie" i błękitne dymki angielskich tytoniów fajkowych czy papierosów „Weekend".

Nudzące się dystyngowanie, a więc dojrzałe już do mniej dystyngowanych rozrywek panie z Kurhauzu tęsknie spoglądały z werand to w stronę „Leliwy", to znów na promenadę, gdzie dziewczynki w lokach angielskich i bufiastych sukienkach nie grały już w serso, ustępując miejsca szykownym sportsmenom, uprawiającym importowane znad morza „gry pokładowe": mini – golf, deck – tennis, rzuty uplecionym z jachtowej liny pierścieniem na najeżoną kołkami deskę. I już zaczynały się trudności Zarządu Uzdrojowiska, bo oto którąś z pań przymówiła się o prawo uczestniczenia w grze, a młody jachtsman doznawał naraz zawrotu głowy w zetknięciu z jej ramieniem, suknią od Myszkorowskiego, rządowym Lincolnem, dyskretną lecz kosztowną biżuterią, zapachem „Chanel No 5", i...

Nudzący się w warszawskim upale dygnitarz otrzymywał na biurko swego chłodnego, reprezentacyjnego gabinetu list tej mniej więcej treści:

Jaśnie Wielmożny Panie!

Jako były wiarus – legionsta, zwracam się do wiarusa – legionisty, to jest do Jaśnie Wielmożnego Pana w tej oto następującej sprawie: gdy Jaśnie Wielmożny Pan, wierny wskazaniom Naczelnego Wodza „Silni – Zwarci – Gotowi", niestrudzenie pracuje nad wielkością i potęgą naszej Ukochanej Ojczyzny, co to rozdarta była na trzy nierówne połowy i co to my, Legioniści, bagnetem naszym i nie szczędząc krwi zeszyli ją z powrotem do kupy, uważam za mój żołnierski i Obywatelski Obowiązek zameldować Jaśnie Wielmożnemu Panu, że są tacy, co to przyszli na gotowe, a teraz wydrwiwają się z nas, Żołnierzy.

I nie trzeba, żeby Jaśnie Wielmożna Pani, Małżonka Jaśnie Wielmożnego Pana, zadawała się, skoro my z ran broczyli, żeby Ojczyzna była, jaka jest. To ja Panu Jaśnie Wielmożnemu z życzliwości pod rozwagę przedkładam, żeby, co tam Jaśnie Wielmożna Małżonka wyrabia i z kim, wywiedział się. Co proszę mnie nie brać za złe, ze szczerego serca, jak myślę, tak piszę, kreśląc się z uniżonym poważaniem Czuj – Duch! My, legionowa wiara, nie damy się!

Legionowy Patriota

W konsekwencji doszło do przykrych incydentów: ktoś kogoś spoliczkował, zasiadał Oficerski Sąd Honorowy, na włosku wisiał pojedynek – ale i tę sprawę w końcu dyskretnie zatuszowano i tylko szepty, i tylko dreszcz sensacji ożywiły przygasający sezon.

VI

Biedny dziadek! Cokolwiek by czynił, jakichkolwiek by nie dokładał starań, przecie mimo melonika, laski, sztywnego kołnierzyka o odgiętych rożkach nie mógł zapobiec wciskającej się zewsząd do Uzdrojowiska infiltracji Ducha Czasu, obcych i nienawistnych poglądów, nowych obyczajów, przekonań i spraw. Czyhające zewsząd Zło, szydząc sobie z europejskości, dostojności przyzwoitości – z wszystkiego właściwie, co było dziadkowi bliskie i drogie – a zwłaszcza z Tradycji, opętało już nawet i członka rodziny!

W lesie za Uzdrojowiskiem, nad tamą spiętrzającą wody Taby przy nieczynnym latem tartaku, stała opuszczona przez tartaczników szopa. Zamieszkał w niej mój kuzynek Leś.

Zmora i zakała moralna ! Imienia Lesia nie wspominało się już nawet przy rodzinnym stole „Pod Jarząbkiem", tylko jeśli ktoś głośno westchnął nad pełnym talerzem, jeśli odłożył łyżkę czy widelec, pytano najprzód troskliwie: – Czy to aby jabłka nie dość dojrzałe, może wczoraj świeżej bryndzy zbyt dużo na kolację? Nie? To nie żołądek? – i już wszyscy spoglądali po sobie ukradkiem, wiadomo było: myśl o Lesiu, wieczna zgryzota, odebrała apetyt, więc w milczeniu, by nie budzić licha, nie wywoływać wilka z lasu, kontynuowano posiłek, a dziadek wymawiając się pilnymi sprawami nie dojadał kompotu, rezygnował z kawy i milcząc, z zaciśniętymi ustami, wychodził przez werandę, kierując się do Zarządu.

Przedstawimy tu pokrótce kolejne etapy degradacji Lesia: najstarsza zachowana jego fotografia w niczym nie zapowiadała jego upadków, przeciwnie, w żywym obrazie przedstawiającym Świętą Rodzinę widzimy śliczne dziecko o bujnych kędziorkach blond, z uniesionymi ku niebu oczętami i złożonymi rączkami, w powiewnej szacie, pod aureolą ze staniolu, odgrywające z przejęciem rolę świętego Jana Chrzciciela. Jednakże w latach szkolnych przejawił Leś niezdrowe, chciałoby się rzec, perwersyjne zainteresowanie naukami przyrodniczymi, co nie było zgodne z rodzinną, już to humanistyczną, już to rycerską tradycją. Oddany na stancję w Krakowie do ciotki Unty, rozmnożył myszy. Przemyślnie i sprytnie zaczynając hodowlę od parki białych myszek, zakupionych w sklepie zoologicznym na Floriańskiej, doszedł w krótkim czasie i w zupełnej tajemnicy do imponujących wyników hodowlanych, wypuszczając pewnego dnia w zebrane towarzystwo luminarzy krakowskiej nauki i sztuki dziesiątki, a nawet setki egzemplarzy tego figlarnego stworzonka, co naraziło na szwank karierę wuja – profesora i skutecznie zlikwidowało artystyczny salon.

Eksperymentując następnie na polu chemii spożywczej, w czym wyprzedził nie znającą dotąd namia-

stek spożywczych epokę, zwykł był częstować gości jakimiś „lemoniadkami" o piorunującym działaniu; ich nęcące, feeryczne barwy, komponowane dzięki strużynom chemicznych ołówków i kredek, okazywały się dziwnie trwałe, barwiąc purpurą, oranżem, fioletem wąsy i brody dygnitarzy.

Relegowany ze stancji i szkół, oddany został Leś pod opiekę dziadka; w rodzinie sądzono, że poważna i męska atmosfera Nieczajny oduczy Lesia płatania psich figli. I rzeczywiście! Leś eksperymentował teraz w dziedzinie środków wybuchowych i pirotechniki. Puszczanie w słuchający koncertu orkiestry zdrojowej tłum kuracjuszy szmermeli, rac, żabek i rakiet domowego wyrobu przyniosło eksperymentatorowi pełną satysfakcję. Głośne wybuchy, krzyki pierzchających, płonące panamy i kapelusze z florenckiej słomki dowiodły, że metoda naukowa właściwie została wybrana. Metody dziadka natomiast, zmierzające do zaniechania przez Lesia naukowych prób, zawiodły całkowicie.

Głód wiedzy, pasja eksperymentu oparły się represjom, a Leś poświęcił się produkcji nitrogliceryny. Trójazotan gliceryny, $C_3H_5(ONO_2)_3$, nie okazał się dla doświadczonego badacza związkiem nieosiągalnym, i tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało się zapobiec podjętej przez Lesia próbie wysadzenia w powietrze jednej z will Uzdrojowiska, przy czym trzeba dodać, że wybrany przez niego obiekt nie przynosił swą architekturą zaszczytu Zakładowi – i że było już po sezonie. Męską rozmowę, jaką zakończyła się ta sprawa, przyjął Leś bardzo sportowo, bardzo fair, oświadczając podsłuchującej pod drzwiami i gotowej wziąć w obronę biedne dziecko babce : „Stary to ma cios! Jakby potrenował, mógłby dojść do rezultatów!" – po czym korzystając z powodzi wybrał się Leś w świat.

Wiosenne i jesienne powodzie, którymi groźnie wzbierały wody Taby, plaszczące zazwyczaj beztrosko wartkim, lecz płytkim rozlewiskiem, odcinały Nieczajnę i Uzdrojowisko od świata, przerywając naraz ochronne wały. Podczas której z tych strasznych górskich burz, kiedy to zapada całkowita ciemność, biją pioruny uderzając w wysoki komin budynku zakładu kąpielowego, kiedy z trzaskiem wali się ściana lasu, a korytem rzeki wali przybierający z minuty na minutę nurt niosący pnie, szczątki mostów, czasem całe brogi, chałupy całe i trupy gospodarskich zwierząt, ujrzano naraz Lesia, jak stojąc w wielkim poidle dla bydła, sterując szpadlem, puszcza się z prądem w nieznane. Lament Antosi, która w tejże chwili stwierdziła brak szynek, butelki rumu i paczek biskwitów, sprawił, iż wszyscy zrozumieli ostateczność rozstania; w blasku gromnicy, przy akompaniamencie grzmotów, odmawiała babka z Antosią nowennę – nie wiedzieć, czy na intencję śmiałka, czy dziękczynną. „Złego diabli nie biorą!" – rzekł Leś sentencjonalnie, powracając o północy i wylewając wodę z butów na środek dywanu. Spotkał go los banalny: fala wyrzuciła go na mieliznę.

W następnych latach Leś nie odznaczył się niczym szczególnym, zwiedzając po prostu różne renomowane zakłady naukowe: krakowskich pijarów, gostyńskich Filipinów, chyrowskich Jezuitów. Nic nam nie wiadomo, jak zapisał się tam w Złotych Księgach wychowanków. Nieco dłużej zabawił w lwowskim Korpusie Kadetów. Na długo przed kampanią wrześniową w spotkaniu z samotnym Lesiem sanacyjna armia poniosła klęskę. Jednakże ktoś w korpusie oficerskim dostrzegł drzemiące w Lesiu obiecujące umiejętności i talenty. Wylany z Korpusu, zachował Leś jakieś znajomości i kontakty, ktoś opiekował się, prowadził i przewodził. Leś uniezależnił się od rodziny, która machnęła na niego ręką. Mówiono nawet : „Mamy go z głowy". Właśnie!

Cudem jakoś, było może cudem przygotowywanym przez owych protektorów, dobrnął Leś do klasy przedmaturalnej w gimnazjum głośnym swym patriotyczno – prorządowym nastawieniem. Szczególny rygor i dyscyplina tam panujące stwarzały nadzieje, ba, gwarancje automatycznego niejako przebrnięcia przez egzamin dojrzałości, po którym absolwentów tej szkoły czekała kariera przygotowana zawczasu przez wysokich protektorów z Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Aż tu naraz, w przededniu egzaminów, wybuchła bomba. Leś pojawił się w owym sąsiednim Zdrojowisku – i to nie sam, a w towarzystwie pewnej damy, żony ustosunkowanej osobistości... Blady strach padł na Nieczajnę i domowników willi „Pod Jarząbkiem". Podobno aż z Warszawy przyjechała którejś nocy po Lesia czarna limuzyna. Wpółoszalała ze strachu i rozpaczy dama, zakrywając twarz opadającą z kapelusza woalką, przybyła do dziadka, by w skomplikowanym monologu rzucać klątwy, samooskarżenia, namiętne wezwania i zapewnienia, iż gotowa dla Lesia porzucić męża, sytuację, dzieci, wprowadziła wszystkich w stan bliski histerii. Dziadek wyprosił damę za drzwi, po czym zamknął się na klucz. Czekano końca świata. Podobno dziadek pisał kodycyl do testamentu, wykluczający Lesia z jakiegokolwiek udziału w podziale masy spadkowej.

I oto któregoś dnia, jakby nigdy nic, Leś pojawił się w Uzdrojowisku. Na głowie miał białą czapkę korporancką, w klapie kusej marynareczki dwa skrzyżowane mieczyki z brązu, nosił modną, pstrą krawatkę, białe bryczesy. Oficerskie „szklanki" lśniły jak lustro, na gębie miał czerwoną szramę od rapiera, zapuścił krótki jasny wąsik... Babce wyłożył na stół świadectwo maturalne i zażądał obiecanego mu w chwili słabości floweru, tyczki do skoków i oszczepu – „za maturę"... W oczekiwaniu reakcji dziadka nastrój „Pod Jarząbkiem", hm, hm – beczka prochu połączona w świetle błyskawic miedzianym drutem z piorunochronem? Pożar statku–cysterny w czasie sztormu 10° w skali

RYMANÓW-ZDRÓJ. Willa pod „Różą".

Beauforta? Nie, nie użyjemy żadnych sztuczek stylistycznych. Powiemy elegancko: WSZYSCY MILCZELI, LECZ TEMPERATURA UCZUĆ RODZINNYCH BYŁA WYSOKA. Rozumiemy się, prawda?

A dziadek? DZIADEK LESIA PO PROSTU NIE ZAUWAŻYŁ.

Przy obiedzie wszyscy siedzieli na swoich miejscach, Leś na końcu stołu tam, gdzie siadał zawsze jeszcze jako dziecko. Kiedy spróbował powiedzieć coś – dziadek jakoś go nie usłyszał. Więc milczano, wszyscy jedli mało i prędko, obiad wnet się skończył.

Po obiedzie Leś niespodzianie zjawił się u mnie, ofiarował mi śliczną odznakę Świętego Konia: szpilkę do krawata z końskim łbem w podkowie, a potem pożyczył ode mnie „Małego Drukarza". Była to zabawka wymyślona, aby zachęcać do poznawania liter, do nauki czytania i pisania. Gumowe czcionki można było wprawiać w drewnianą ramkę, smarować na specjalnej poduszeczce tuszem i odbijać teksty – jak pieczątkę. Nie była to specjalnie ciekawa zabawka i chętnie oddałem ją Lesiowi za obietnicę postrzelania sobie z jego flowera.

Leś pobawił się chwilę „Małym Drukarzem", wybrał sobie jakieś literki, powprawiał w ramki, posmarował tuszem, chuchnął, odbił na próbę na kawałku papieru, papier złożył, schował do kieszeni, ramki wsadził do pudełek po papierosach „Płaskich" – i naraz, do mnie: – W imieniu Organizacji dziękuję za pomoc w robocie propagandowej! – Nim miałem czas zapytać, co to organizacja, robota i propaganda, już Lesia nie było. Ktoś gwizdał pod oknem w dziwny sposób. Leś odgwizdywał, po chwili z przewieszoną przez ramię torbą myśliwską biegł w stronę lasu, a tam czekał na niego ryży drągal, którego znaliśmy z widzenia: był to nauczyciel gimnastyki z mieszczącego się w pobliskim miasteczku gimnazjum.

VII

Na kolację miała być pierwsza w tym roku kukurydza i cieszyliśmy się węsząc z kuchni cukrową woń młodziutkich kaczanów. Punktualnie i skwapliwie siadali wszyscy do stołu, a kiedy w mig uporano się z przystawką i Antosia zdjęła talerzyki, spod nich, odbity na dnie talerzy, ukazał się złożony czcionką „Małego Drukarza" napis :

SILNI – ZWARCI – GOTOWI!
WSZYSTKIEMU WINNA ŻYDO–KOMUNA I MASONERIA!
NIE KUPUJ U ŻYDA – BIJ ŻYDA!
TAK NAM DOPOMOŻ BÓG !

Zajęty sylabizowaniem, nie spojrzałem na dziadka, aż usłyszałem jego zduszony głos:

–Śmierdzi mi tu OZON–em, otwórz okno!

Już miałem głośno zdziwić się, bo przecież ozon ładnie pachnie, a zresztą wcale nie miało się na burzę, ale spojrzałem na dziadka i zobaczyłem, że dłonią łapie się za serce; naraz zwracając się do Lesia powiedział krótko:

– Precz! I żeby twoja noga więcej...

Powiedział to tak jakoś, że Leś, który piejąc aż, krzyczał, że nie pozwoli znieważać narodowych haseł, ucichł, wstał, kopnął krzesło i wyszedł. Na zatrzaśniętych drzwiach roztrzaskał się ciśnięty przez dziadka talerz. Jego szczerby rozsypały się po posadzce.

W kącie, przytulona do framugi, łkała Antosia, przysięgając na Matkę Boską Leżajską, że zawsze czysto myje naczynia.

Pierwszy raz w życiu, za sprawą polityki, kładłem się spać bez kolacji.

Od tego wieczoru nikt już nie wspomniał „Pod Jarząbkiem" o Lesiu, choć wiedziano, że zainstalowawszy się w szopie, w tartacznej „budzie", oddaje się wielce nieprzystojnym zajęciom. Oto w slipach samych – a przecie regulamin Uzdrojowiska, rozwieszony na wszystkich tablicach ogłoszeń, mówił wyraźnie, że „ze względu na poczucie moralności publicznej dopuszcza się kąpiele wodne i słoneczne pań i panów jedynie w niedekoltowanych, zupełnych kąpielowych kostiumach z trykotów wełnianych" – opalony na brąz, trenował skoki o tyczce, rzut oszczepem i biegi.

W „Leliwie" zawarł wkrótce znajomość i znalazł naśladowców, wspólnymi siłami zmajstrowali trampolinę i oto przy tartaku miały miejsce kąpiele gromadne, w nader skąpych strojach, podobno też nawet opalano się w krzakach – czy możebne? – całkiem bez strojów, grano w jakieś bezstylowe gry: siatkówkę, szczypiorniaka, nawet w piłkę nożną... Co gorsza, dorwawszy się jakoś do zasobów magazynu Uzdrojowiska, urządził się Leś w swej budzie wcale wygodnie i nocował tam nie zawsze sam! Trudno go było przecie podejść i przyłapać na gorącym uczynku, bronił go bowiem, obłaskawiony przezeń, wyjątkowo zły owczarek tartacznego stróża, spuszczany na noc z łańcucha. Zagrożona została istota bytu Uzdrojowiska – Dobra Sława. U progu jesieni niosło się po górach dalekie echo wystrzałów: Leś przestrzeliwał nowy flower. Niekiedy też udawał się do owego wyklętego wuja, do dworu, a kiedy już zaprzyjaźnili się (bo przecie swój do swego ciągnie, ach!), widywano Lesia, jak oklep, półnagi pędził na pożyczonym dwulatku, wpierał konia z galopu w wodę, aż bryzgi leciały, wywołując krzyki przestrachu mamuś i opiekunek taplających się przy brzegu dzieci. Potem zaś...

Pewnego razu, po całonocnej burzy, jaka rozszalała się nad górami, straż leśna odnalazła w lasach zbłąkaną, przemoczoną do nitki i wpółobłąkaną z przerażenia pannę. Wyznała, że Leś prowadził ją na manowce leśnymi ścieżkami, a gdy okazało się, że gotowa siłą bronić swej cnoty, porzucił ją w lesie, pozostawił kobietę samą, nocą, w czasie burzy!

Teraz już nawet babka nie odważyłaby się powstrzymać dziadka. Z nastroszonymi wąsami i brodą, z błyskawicami w oczach, wysoko wznosząc hebanową laseczkę szedł w stronę tartaku. Kroczył, niczym Bóg Zemsty, środkiem deptaku, odprowadzany trwożnymi spojrzeniami kuracjuszy rozstępujących się przed nim i przyciskających do kolan swe dzieci.

Wrócił wkrótce – bez laski! Znaleziono potem szczątki tej pięknej, hebanowej laski ze srebrną rączką, teraz złamanej, zniszczonej na zawsze. Leś zniknął. Przemoczona, skompromitowana i zakatarzona panna opuściła Uzdrojowisko, które z wolna powracało do równowagi po tym wstrząsie i jeszcze przed końcem sezonu zapomniano by o Lesiu, gdyby nie to, że dziadek chodził teraz po deptaku z inną laską – jasną, tonkinową. Ale i tak wyjeżdżała już większość kuracjuszy, ci, dla których kończyły się wakacje i urlopy. Pozostawała teraz właściwie sama tylko elita klienteli, dla której sezon trwać może cały okrągły rok, byleby tylko świeciło słońce i chłód nie dawał się zbytnio we znaki. Zresztą góry zmieniały właśnie barwy, poszycie lasów złociło się i rudziało na tle błękitniejących w niskim słońcu mgieł, a że wieczory dłuższe? Cóż, okazja, aby kazać zapalić w kominkach i piecach, aby po słońcu ciepłych jeszcze godzin wczesnego popołudnia cieszyć się ogniem żywo trzaskających smolnych szczap w nadciągającym z wolna zmroku.

VIII

Zaczynał się drugi sezon. Zamykały się opustoszałe pensjonaty, owe „Orły Białe", „Pogonie", „Wandy" i „Krakusy", w ogrodach will zakwitały dalie, a ogrodnicy krzątali się w wyludnionych perspektywach promenady. Najmilszy okres, pachnący owocami jesiennych sadów, czas odpoczynku w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, teraz, kiedy nie stało już niemal kuracjuszy serio traktujących odpowiedzialne zabiegi, domagających się auskultacji zdrojowych lekarzy, usług pielęgniarek i personelu, oblegających gabinety, ambulatoria, aptekę czy choćby wagi. Zostawali ci tylko, co się już tak rozleniwili, że wyjazd zdał im się wysiłkiem, którego podjąć się nie byli w stanie, ci, którzy liczyli, że będą mogli nawiązać stosunki towarzyskie, łatwiejsze teraz, bo znano się już przynajmniej z widzenia, wszystkich zaś korzystających z drugiego sezonu zaliczyć było można do elity, choć i w tej elicie subtelne gradacje społeczne rozdzielały nieprzebytą barierą poszczególne grupy, klany i jednostki. Goście z „Pod Matki Boskiej" mogli poufale gawędzić z personelem, jowialnie witać się z kelnerami czy ogrodnikiem, lecz ani im było w głowie pozwolić przedstawić się sobie kuracjuszowi z „Leliwy" czy „Gozdawy", któremu pozostawała tylko satysfakcja opowiadania później: „wraz z panem generałem X, z panią wiceministrową Y przebywaliśmy aż do końca sezonu w Uzdrojowisku, gdzie się zrobiło wyjątkowo właśnie przyjemnie, skoro cała hołota wyjechała już przed wrześniem".

I dla personelu zaczynały się miłe dni wypoczynku, jakby półurlop; widziałeś doktora Wojtkowskiego, gdy w tyrolskim kapelusiku i myśliwskim ubraniu przechadzał się po deptaku, fundując niedobitkom swych młodocianych pacjentów czekoladki z automatu ozdobionego firmową zebrą Wedla, a lekarz naczelny, doktor Lander, rozgrywał na werandzie Kurhauzu partię szachów z księdzem proboszczem. Korzystając z nieobecności lekarzy, pielęgniarki, siostrzyczki i kąpielowe wystawiały w oknach Łazienek pobladłe ze zmęczenia twarzyczki na dobroczynne działanie niskiego słońca, a nawet ośmielały się wylec gromadnie na deptak, gdzie ławki stroszyły się ich kokieteryjnymi czapeczkami i furkotały od krótkich pelerynek. Pokojowe, lokaje i posługacze ukradkiem ciągnęli leżaki na ukryte przed spojrzeniami zarządzających i klienteli werandy – i oto nadszedł czas jakiejś ogólnej, powszechnej senności szczęśliwej, szczerych uśmiechów, wesołych pogwarek. Cykl roku trwał, niezmienny, i było już jakby po żniwach, po winobraniu.

I teraz dopiero właśnie pojawiali się w Uzdrojowisku najwytrawniejsi smakosze, ci, którzy ani myśląc o tym wybierali zawsze w życiu najlepszą część wszystkiego, najprzyjemniejszą porę i najsmakowitszy kąsek. Ściągali krewni i znajomi, którzy zamierzali zabawić z nami chwilę, nim w pobliskich lasach zacznie się sezon jesiennych polowań. Ale też teraz właśnie i dla nas nadchodziła chwila próby – dziadek zbyt zajęty dotąd kuracjuszami, by nam, należącym do rodziny, poświęcić więcej uwagi, stawiał naraz wymagania, dopatrywał się uchybień w manierach i stroju. Nawet i ojciec mój nie uniknął jego cierpkich uwag: zjawił się raz – powracając zapewne z jakiegoś ziemiańskiego spotkania, hipicznego konkursu czy myśliwskiego meetingu – w stroju do konnej jazdy. Spotkany przez dziadka na promenadzie został natychmiast odesłany do domu, napominany tak, jak napominał mnie, gdym zapomniał przebrać się do kolacji, i oto po chwili ojciec powrócił już ubrany w strój spacerowy, w kapeluszu i z laską, bo przecie ojciec też miał szczęście należeć kiedyś do tej prawdziwej, lepszej Europy sprzed roku 1914. Mógł się zapomnieć, ale musiał wiedzieć, jak naprawdę powinno być, jak należy się zachować na deptaku modnego Uzdrojowiska, u schyłku letniego sezonu.

Którejś nocy przemknęła w blasku potężnych reflektorów, w cichym pomruku silnika, wielka Hispano–Suiza, by zatrzymać się przed podjazdem hotelu „Pod Matką Boską". Ktoś zajmował obszerny, umeblowany w stylu Louis Philippe apartament, przygotowany już przez przybyłą wcześniej osobistą służbę – lokaja i pokojówkę – i choć gorliwie podpatrywano, nic się nie dało podpatrzyć za szczelnie zaciągnię-

tymi portierami. Wielu, choć nigdy by nie przyznali się innym, nawet sobie, przyjechało do Uzdrojowiska wyłącznie po to właściwie, aby móc zobaczyć coś, coś zapamiętać z tego właśnie życia, zawsze zasłoniętego od spojrzeń.

Nie, państwo z Hispano–Suizy nie brali wcale udziału w życiu kuracjuszy, jadali u siebie, niekiedy tylko cicho mrucząc przemykała szara limuzyna, wiozące ich z wizytą do któregoś z wielkich okolicznych dworów lub na objazd lokalnych osobliwości. Opodal w miasteczku był przecież ryneczek z malowniczymi podcieniami, w barokowym kościele widziałeś wysunięty na środek klasycystycznej kaplicy sarkofag, ponoć dłuta Canovy, na poduszkach łoża spoczywała półobnażona marmurowa piękność... Niezmiernie oryginalny nagrobek, może i ładny w swoim rodzaju, ale czy przyzwoity? Czy wypadało ustawiać rzeźbę taką w kościele?

I można też było odnaleźć na szmaragdowych, trawiastych stokach gór otoczone wianuszkami czarnych owiec osobliwe cerkiewki łemkowskie, o surowych, czemuś przejmujących smutkiem ikonostasach, pełnych ostrzegawczych znaków: palców wskazujących drogę, ustawionej w hierarchicznej gradacji Trójcy Świętej, chórów proroków i męczenników nad piekielnymi otchłaniami. Ruiny zamków broniących niegdyś szlaku węgierskiego przypominały te najpiękniejsze karty historii, której pamięć i wielkość kontynuowały jeszcze żywe tu, wciąż bogate opactwa, fundacje i klasztory. Malowniczy wąwóz z potokiem pełnym pstrągów mógł też dostarczyć miłych wrażeń uczestnikom pikniku, a miejscowy przewodnik – bajarz rad rozłupywał szczególnego kształtu skamieniełiny, przechowujące, niczym w drzewnych słojach, odciski dziwnych stworów i roślin. Nie nudzili się i mieszkańcy szczelnie zasłoniętego apartamentu, których profile tylko dostrzegali kuracjusze w oknie Hispano–Suizy lub w kościelnej ławce obok ołtarza w czasie wczesnej, porannej mszy.

Miało się jednak okazać, że to nie tylko chęć odpoczynku i zamiłowanie do artystycznych wzruszeń sprowadziły prominentów do Uzdrojowiska, bo oto pewnego dnia, patrzcie! patrzcie! obok szarej Hispano–Suizy zaparkował czekoladowy Packard, z którego wysiadł kto? Dobrze nam znany sąsiad Nieczajny, doktor dyrektor inżynier Anton Fabrizius, godny Szwajcar, przedstawiciel naftowej spółki Compagnie Hispano–Francaise, i szedł poprzedzony przez lokaja w paskowanej liberii, lokaja „państwa z Hispano–Suizy" – jak ich już powszechnie nazywano, niosącego wydobyty z Packarda niewiarygodnych rozmiarów kosz bajecznych kwiatów, sprowadzonych podobno – mówiono – aż z Nicei, specjalnym samolotem firmy... Naraz rozpstrykały się kodaki, dwaj niepozorni kuracjusze zdekonspirowali się w mgnieniu oka, okazując się przedstawicielami najpoczytniejszych krajowych pism, i Uzdrojowisko przeżywało swoją wielką sensację widząc nazajutrz nagłówki w gazetach:

ILUSTROWANY KURIER LEODYJSKI

Czyżby porozumienie Nobel–Standard z Compagnie Hispano–Francaise?

„Jak nam donoszą, w dobrze poinformowanych kołach mówi się wiele o nieoficjalnym spotkaniu przedstawicieli czołowych Towarzystw Naftowych, jakie miało wczoraj miejsce w wytwornych apartamentach hotelowych znanej miejscowości kuracyjnej. Można oczekiwać, że podjęte tam rozmowy będą kontynuowane, doprowadzając do porozumienia owocnie wpływającego na dalszy rozkwit Krajowego Przemysłu Rafineryjnego, zapewniając polskim produktom naftowym światowe rynki zbytu. Potwierdzenie tych informacji niewątpliwie ożywi transakcje giełdowe, wykazujące obecnie pewną stagnację, zrozumiałą w okresie letniej kanikuły".

GAZETA LUDU NIEPODLEGŁEGO

Polityka Rządu a przemysł światowy!
Nowy kartel gwarantem siły obronnej Kraju!

„Od naszego specjalnego Korespondenta: Niewtajemniczeni powiedzą może: oto znów skrawek Ojczyzny, oto znów Polska Nafta przedmiotem przetargów obcych sił. A przecież nafta to krew w żyłach przemysłu nowoczesnego Państwa. Tak, wszystko to prawda! Lecz któż zorientowany w trudnych i skomplikowanych zagadnieniach Polityki Gospodarczej współczesnej potęgi, jaką jest Polska, nie dostrzega korzyści płynących z takich transakcji, jak zarysowujące się ostatnio coraz wyraźniej zainteresowanie Światowych Firm naszymi zasobami mineralnymi? Kontrolowane przez Nasz Rząd pertraktacje dowodzą tylko, iż Siły Zbrojne pod przewodem Pana Marszałka Rydza Śmigłego są dostateczną gwarancją dla inwestycji podejmowanych przez Światowy Przemysł u nas, w Kraju. Cóż zaś z kolei gwarancją nietykalności polskich Granic? Wielostronne powiązania Polski z zainteresowanymi w rozkwicie Jej gospodarki Mocarstwami, oparte na wspólnocie interesów, zapewnią bezpieczny rozkwit i powszechny dobrobyt obywatelom Polski i świata! Odbywające się obecnie, w pełnym skwarze lata, żmudne pertraktacje czołowych osobistości z kół finansów i przemysłu, jakie miały miejsce w sielskim krajobrazie uroczego, powszechnie odwiedzanego Uzdrojowiska, położonego nie opodal naszego Zagłębia Naftowego, dowodzą, iż zawsze i wszędzie interesa nasze reprezentowane są właściwie. Światowy Przemysł i Polska Nafta to jedność nierozerwalna, a wspaniały, wielobarwny bukiet zagranicznych kwiatów, rozkwitający na gościnnym polskim stole, jest szczęśliwym symbolem pomyślnej przyszłości!"

IX

Za sprawą prasy – jak się to zwykle dzieje – byliśmy skłonni wyolbrzymiać znaczenie tych wydarzeń, sprowadzających się dotąd w naszych oczach do prostego faktu, że pan Fabrizius, ofiarowując istotnie wspaniały bukiet, wypił „Pod Matką Boską" popołudniową kawę. Lecz, pamiętajmy, reklamowa szczodrość firmy, reprezentowanej przez pana Fabriziusa, obsypywała nawet mnie, gdy odwiedzał nas zimą w Nieczajnie, skrzyneczkami mussli, wiśni w maraschinie i innych wyrobów Lindta, tak że bukietu, mimo jego wielkości i zagranicznej proweniencji, nie należało przeceniać. Dziadek przeczytawszy owe artykuły machnął tylko ręką: – Et, zwykła machlojka giełdowa! – Ojciec mój z kolei sądził, że w sezonie ogórkowym można i w Tabie dopatrzyć się węża morskiego lub potwora z Loch Ness a wszystko było dziennikarską kaczką, natomiast inni, bardziej wprowadzeni w arkana dziennikarskiego rzemiosła, podziwiali wielce komentarz „Gazety Ludu Niepodległego": po wybrykach cenzury, po wybijaniu szyb w redakcjach przez korporantów, opozycyjne pismo przyjęło najrozsądniejszą taktykę – niby to chwaląc, w zręcznych szczątkowych zdaniach odsłaniało istotę rzeczy. Lecz choć wszyscy u nas starali się pomniejszyć znaczenie tych artykułów i zamieszczających je pism – „tuba rządowa" i „pisk zazdrosnych, którzy się nie zdążyli dorwać do żłobu" – to przecie i one przysparzały jakoś wielkości owym „państwu z Hispano–Suizy", a nawet Fabriziusowi, którego z uwagi na dawną zażyłość skłonni byliśmy lekceważyć trochę, traktując go jak, ot, starego poczciwca.

Toteż gdy przed wyjazdem z Uzdrojowiska owi państwo wyrazili dyskretnie i okrężną drogą zamiar złożenia dziadkowi ceremonialnej wizyty, aż z Nieczajny sprowadzony został stary serwis sewrski, i mogłem z bliska podziwiać sznur słynnych pereł na dekolcie damy pijącej herbatę. Perły te, „historycznej proweniencji", wymieniane niemal co tydzień w „Kronikach Towarzyskich" gazet, „nabyte zostały na aukcji za niewiarygodne wprost sumy" – twierdzili dziennikarze i tych słów nikt nie podawał w wątpliwość.

Po obowiązkowym kwadransie obojętnej rozmowy goście opuścili błękitny salonik willi „Pod Jarząbkiem" – i wydarzenie to nie było, niestety, warte wyzłoconej wewnątrz, malowanej w girlandy różyczek starej filiżanki, stłuczonej w czasie transportu z Nieczajny. Ogrodnicy Uzdrojowiska jednak i tak spustoszyli doszczętnie różane klomby mojej babki, komponując przekwitły bukiet, który dźwigałem z trudem, towarzysząc dziadkowi z pożegnalną rewizytą, którą my z kolei odbywaliśmy w zielono–brązowym saloniku hotelu „Pod Matką Boską". Perły zastąpione były tym razem szmaragdem w brylantach, wpiętym w koronkowy żabocik, a wokół snuł się niepowtarzalny zapach podróżującego luksusu: składały się na niego i dym cygara, i perfumy, i woda kolońska, i skóra spakowanych już kufrów. Z zapachem tym próżno starał się konkurować słodki aromat naszych róż.

Dziękowano nam za nie równie obojętnie i grzecznie, jak odrzucono zaproszenie na jesienne polowanie do Nieczajny, „w kilka fuzji" tylko, z generałem L'Airain de La Crapaudiere. Ten światowy stary

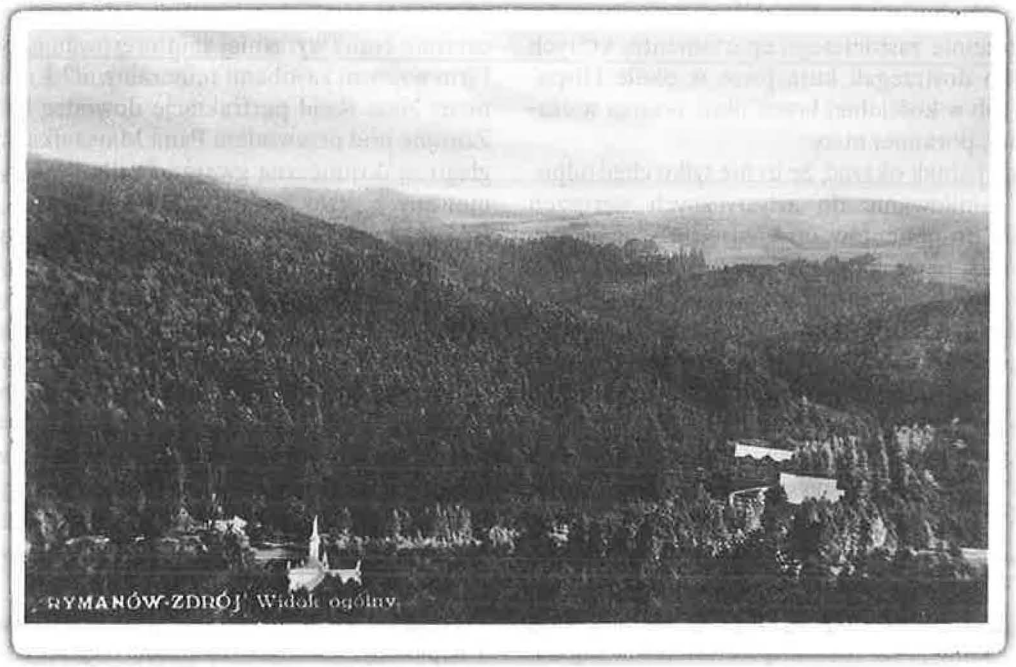

Rymanów Zdrój. Widok ogólny.

dżentelmen, eks–cesarsko–królewski attache militaire w Turcji, osiadł był po upadku monarchii w okolicach Nieczajny, gdzie w okresie gorączki naftowej u schyłku minionego wieku nabył kiedyś kawał lasu. Wprawdzie wiercenia, pochłaniające ostatnie oszczędności emerytowanego generała, nie przyniosły rezultatu, za to dziadek zyskał sąsiada, którego wielkopańskie maniery i dystyngowana sylwetka stały się ozdobą nieczajeńskich – rzadkich niestety! – przedsięwzięć towarzyskich. Nie, „państwo z Hispano–Suizy" nie poznają generała. „Żałujemy – odpowiedzieli – lecz obiecaliśmy się już na jesienny sezon panu prezydentowi do Białowieży".

I może ta odmowa właśnie, bardziej niż pomyślny bilans sezonu, sprawiła, że dziadek postanowił go uświetnić pewnymi towarzyskimi i światowymi przedsięwzięciami, które podtrzymywałyby renomę Uzdrojowiska – i naszą. Miał to być najpierw kinderbal, a następnie wielki, uroczysty bal dorosłych w lustrzanej sali Kurhauzu, ostateczne i pamiętne zamknięcie sezonu.

Nam, dzieciom, wydawało się – kiedyśmy usłyszeli o tych projektach – że czeka nas coś wyjątkowego, bo trwał jeszcze ten szczęśliwy czas, kiedy rozum nie odbiera wydarzeniom znamion nadprzyrodzonej cudowności. Nasza edukacja składała się z nabożnych komunałów podszeptywanych przez wychowawczynie, bony i guwernantki, a prawdy życia mogliśmy tylko przypadkiem podpatrzeć, podsłuchać przez dziurkę od klucza. Ale wiedząc, jak to naganne, nieczęsto korzystaliśmy z tych wyjątkowych okazji. Nabraliśmy ogłady, lecz długo, długo jeszcze nie mieliśmy się nauczyć odróżniania pozoru od istoty rzeczy. Toteż pytani, kogo chcielibyśmy widzieć na kinderbalu, odpowiadaliśmy szczerze, lekkomyślnie wymieniając po prostu towarzyszy sezonowych zabaw.

Tymczasem okazywało się, że dorośli i tak lepiej wiedzieli, kogo zaprosić, a kogo nie zaprosić, tak że niewielu uczestników partii sersa, dzikich gonitw i wyliczanek, współbudowniczych kamiennych tam na Tabie i zamków z piasku znalazło się na liście. Rozesłane zaproszenia obejmowały za to ledwo raz może widzianych, daleko mieszkających kuzynów i kuzynki, ledwie nam znanych ze słyszenia i z imion, a pomijały wielu z tych, którzy byli tu, o krok, z którymi zdążyliśmy się najserdeczniej zżyć. I nadchodziły odpowiedzi w długich kopertach „angielskich" lub w szczególnie teraz modnych i eleganckich kopertach niemal kwadratowych, na papierach listowych czerpanych, płóciennych, szarych lub błękitnych, często ozdobionych dyskretnie wytłoczoną koroną czy monogramem. Kulfoniaste litery stawiane pod dyktando, spod których starte zostały radyrką nakreślone ołówkiem pomocnicze linie, oznajmiały o „prawdziwej radości i wdzięczności", z jaką przyjęte zostało zaproszenie, bądź też w wielu wypadkach donosiły o „prawdziwym żalu spowodowanym jakże przykrym faktem, iż w czasie tym mamy już inne zobowiązania" lub głosiły znaną mi formułę: „obiecaliśmy się" tam a tam, temu czy tamtemu. Toteż ostatecznie ustalona została nowa, kompromisowa lista, choć po części uwzględniająca nasze poprzednie życzenia, mogliśmy sami doręczyć naszym towarzyszom zabaw koperty przyjmowane już to z nieśmiałą radością, już to z niedowierzającym zażenowaniem.

A nawet dziś, po latach, ze wstydem przyznać muszę, że chciałem przemilczeć, jak oblałem łzami nadesłaną w ostatniej chwili depeszę: z zagranicznej plaży o światowej sławie pewna bardzo młoda osóbka o orzechowych oczach życzyła nam wszystkim wesołej zabawy, w której uczestniczyć nie będzie, lecz która – jak pisała – „i bez moich życzeń z pewnością będzie wspaniała".

X

Nadszedł wreszcie ów wielki dzień wypełniony od rana gorączkową krzątaniną: na łączce za willą „Pod Jarząbkiem" wzniesiony został obszerny szałas z kukurydzianej słomy, przed którym stanął wbity w ziemię słup pomalowany jaskrawymi farbami i ozdobiony na szczycie wielkim wieńcem z jesiennych kwiatów.

Za sprawą ogrodników klomby i rabaty poniosły też dalsze ofiary na rzecz stołów i schodów willi, gdzie dobiegający z kuchni brzęk naczyń i sztućców, szczęk porcelany i terkot maszynki do lodów podnosił nastrój chwili. Taszczono krzesła i stoły ogrodowe, otwierano z szelestem firmowego papieru wielkie paki nadesłane przez dostawców, a uśmiechnięta krakowianka z etykiety Piaseckiego, zebra Wedla, pierrot zabawkowego magazynu pozwalały się domyślać tajemnic ich zawartości. Rozciągnięty do ostatecznych granic owalny stół jadalni ozdobiony został gałązkami kwiatów i barwnymi zwierzątkami z kopenhaskiej porcelany, przed każdym nakryciem znalazł się nawet smukły „flet", co pozwalało oczekiwać, że nawet i dzieci dostaną po kropelce musującego wina rose o słodko–cierpkim smaku i barwie przypominającej pewną odmianę goździka, co potwierdzały rozstawione na bufecie kubełki z lodem. Oparte o kieliszki kartoniki z nazwiskami biesiadników umożliwiały dokonanie śpiesznego przeglądu gości. W wielopiętrowych postumentach, pełnych jesiennych owoców, różowa złocistość moreli kontrastowała z fioletem ciężkich gron winnych, szkarłat jabłek z zielenią nakrapianych brązowo gruszek, delikatna mgiełka węgierek z chropowatością skorup młodych orzechów włoskich.

Dostojna wspaniałość owego stołu nie najlepiej nam dzieciom wróżyła; wszelkie uchybienia w manierach i stroju groziły kompromitacją, cierpkimi uwagami mademoiselle, która w takich wypadkach po wieczornej rozmowie z moim ojcem powracała z migreną, w nerwowej depresji pakowała kufry i obrzucała mnie oskarżeniami, zaręczeniami, że mała Anita Battardi–Costa nigdy by nie naraziła jej, Marguerite

Rymanów Zdrój

Willa „Góral"

Goddard, na taki wstyd! Nie mogąc dać sobie rady z dzieckiem tak krnąbrnym, ordynarnym i upartym jak ja, woli odejść i żyć ze sprzedaży swego jedynego klejnotu, okazałego pierścienia, jaki pozostał jej po matce, Eleonorze z domu Galversson, z Petersburga, która płacze w niebie, widząc, jak jej córka poniewiera się na starość wśród dzieci o zimnym i okrutnym sercu...

Wtedy i ja wybuchałem płaczem, bo nie kochałem wprawdzie Marguerite, ale przyzwyczaiłem się do jej wełnianych szali pachnących kamforą i kwiatem pomarańczowym, do opowiadań o Anicie Battardi i Eleonorze z Petersburga, lektur niewyczerpanej Bibliotheque Rose. Zresztą – zapewniała Marguerite – po jej wyjeździe byłbym oddany na pastwę którejś z tych modnych obecnie, chudych i złych Angielek...

Wspólnie z Marguerite płakaliśmy wtedy nad naszym losem, aż naraz Marguerite litowała się nade mną i rozpakowywała kufer i trzcinowy kosz, wydobywając pachnące naftaliną czarne wełniane suknie, orenburskie szale, bawełniane i fildekosowe pończochy, puszkę The Chambard, a także swoje skarby: otrzymane w upominku od kolejnych chlebodawców kosztowne drobiazgi i pamiątki – neseser do szycia z masy perłowej, budzik z pozytywką, album pełen fotografii wychowanków, przycisk kryształowy do papierów, w kształcie kuli, w której oglądało się z jednej strony portret Leona XIII na tle panoramy Rzymu, z drugiej zaś alpejski pejzaż, gdzie – jakąś sztuczką optyczną – bez przerwy prószył śnieg.

Czas się teraz było starannie umyć, ubrać i uczesać, przecierać trzewiki, których noski bardzo ucierpiały skutkiem kopania ostrych kamyków nad Tabą – a potem następowało to najgorsze: oczekiwanie przyjazdu pierwszych gości.

Najwcześniej i najpunktualniej przyjechali ci, którzy mieli najdalej. Z Chevroletów, Mercedesów, Lancii i wchodzących właśnie w modę Citroenów wysiadały dzieci wyglądające całkiem zwyczajnie, w kremowych i białych ubrankach i sukienkach z lnu czy shantungu. Nad białymi skarpetkami brązowiały opalone kolana, a głowy dziewczynek czy chłopców były jednakowo krótko ostrzyżone i gładko uczesane. Swobodni i weseli, eskortowani przez guwernantki ubrane w gładkie popielate kostiumy, nie wykazywali ani zbytniego zainteresowania, ani zakłopotania czy radości. I ledwie skończyły się grzeczne powitania, już rozległ się turkot kół konnych pojazdów: linijki i dogcarty przywiozły sąsiadów Nieczajny, których samodziałowe kurteczki, robione na drutach pulowerki, flanelowe spodenki i spódniczki dobrze wyglądały na tle czarno lakierowanych ekwipaży i wybłyszczonych cugowych koni. Nikt nie opiekował się tymi dziećmi, najwyżej stangret wręczał Marguerite przywieziony „na wszelki wypadek" cieplejszy sweter czy pelerynę z kapuzą. Oswojeni i z Uzdrojowiskiem, i z wszelkimi wiejskimi sprawami nieco z góry spoglądali na tamte, krępowane zakazami i napominaniami guwernantek dzieci, namawiając je zaraz na ryzykowne eskapady: przeskoczenie Taby po sterczących nad wodą kamieniach i głazach, wdrapanie się po stromym stoku kamieniołomu, dosiadanie wyprzęgniętych koni.

Już spoglądano niecierpliwie na zegarki, już myślano siadać do stołu, gdy jakże późno – o Boże miłosierny! – przybyli miejscowi. I, ach, to chyba ilustracje do „Małego Lorda" natchnęły mamusie do uszycia tych nieprawdopodobnych ubranek z błękitnego aksamitu, przybranych zdumiewającymi fontaziami, tych falbaniastych, krepdeszynowych krynolin, koronkowych kołnierzy i mankietów! Głowy naszych przyjaciół, czesane zazwyczaj chyba przez wiatr, ozdobił teraz miejscowy „Zakład Fryzjerski Figaro" wodną ondulacją w fale, w flaszenloki i fantazyjne czuby, na których chwiały się motyle lśniących, wielobarwnych kokard z mory! A na dobitek stopy, przyzwyczajone do bosego biegania po płaskich kamieniach rzecznych, wtłoczono naraz w lśniące i przyciasne, piekące lakierki...

Staliśmy osłupiali i pewnie dlatego uszedł naszej uwagi wjazd dwojga małych Szkotów w kraciastych kiltach, których przywiozła pomidorowym kabrioletem super–sport ich matka, niegdyś kabaretowa tancerka, obecnie zaś żona właściciela owego konkurencyjnego Zdrojowiska zza górki. Nawet kocz szczelnie wypełniony śmiechem, piskami, szelestami krochmalonych halek sześciu kuzynek „ze dworu" nie wzbudził sensacji.

Cały wdzięk opuścił jakoś naszych przyjaciół; w niezgrabnej, ubranej w różową organdynę dziewczynce nikt by nie poznał zwinnej Emilki o odrapanych kolanach, wspinającej się na najwyższe drzewa i do złudzenia naśladującej głosy ptaków; a czy ten chłopczyk w zbyt ciasnej bluzie z marynarskim kołnierzem o czterech białych listwach był doprawdy Zbyszkiem, niezrównanym, zręcznym łowcą, zdolnym jednym celnym wyrzutem dłoni uchwycić przemykającego w nurcie Taby pstrąga? A inni? Gdzie się podziały przewodniczki wypraw na grzyby i jeżyny? Gdzież mistrzowie puszczania kaczek, gdzież ci wyborowi strzelcy, których łuki i proce śmigały pociskami zapewniającymi naszej partii niechybne zwycięstwo? Byliż to oni?

– To nic – mówiła śniada, kruczowłosa dziewczynka patrząc spod długich rzęs i unosząc wąziutki garbaty nosek – tacy zdarzają się na prawie każdym kinderbalu, i mamusia i ja postanowiłyśmy dawać tylko garden–party.

A potem przy stole Iga – bo tak się nazywała – rozglądając się z minką, którą dziś umiałbym określić „sophisticated lady", notowała w pamięci każdą upuszczoną łyżkę, każdą nie rozłożoną serwetę, podniesiony do ust inaczej jak palcami szparag, a nawet – o zgrozo! – pewną wypitą płukankę do palców, bawiąc mnie przy tym rozmową o przebiegu ostatniego

challenge'u o Puchar Gordon–Benneta (o Burzyńskim mówiła po prostu „nasz Zbynio"), obierając brzoskwinię, i – wiedziałem – skreślając wszystkich nas niechybnie z listy garden–party.

Choć już przy obiedzie shantungi, płótna i tweedy z pulowerkami grupowały się jakoś u góry stołu, zaś kokardy, organdyny, koronki i aksamity u jego końców, dopiero później nastąpiła wyraźna polaryzacja. Niektórzy przebrani zostali przez guwernantki w wygodne dżempery, blezery i jerseyowe trykoty, inni po prostu ściągnęli tweedy i swetry, zaś miejscowi nasi przyjaciele pozostali nadal w swych jedwabiach i aksamitach, choć nosiły one ślady kompotów i czekoladowych sosów, zaś oklapłe kokardy straciły świeżość. Ale i tak oni to właśnie zebrali wszystkie nagrody w biegu w workach, wyścigu z jajkiem na łyżce i innych grach, nie mówiąc już o znajdywaniu ukrytych w ogrodzie fantów. I tylko oni bawili się naprawdę, naprawdę cieszyli z wyłowionych „Wędką Szczęścia" zabawek, choć to były tylko celuloidowe laleczki i drewniane żaglówki, gdy Iga bez entuzjazmu przyjęła główny los –wielką lalkę Shirley Temple z kufrem zawierającym całą garderobę wedetty dziecięcego ekranu, zaś mali Szkoci dołączyli pudła ołowianych żołnierzy do długiej listy swych zaciężnych pułków. Tym małym Szkotom zresztą zawdzięczaliśmy incydent, który ożywił popołudnie: oto najpierw jeden rymnął jak długi, ze swym kiltem, czapeczką z wstążkami i brodatą torbą do Taby, a zaraz po nim drugi zamykając oczy z determinacją skoczył w wodę. Ale wyratowano ich natychmiast z płyciutkiego nurtu, osuszono, przebrano w piżamy z mojej komody i położono do łóżka, gdzie i tak byli bohaterami dnia i gdzie powodziło im się najlepiej. Bo inne dzieci musiały nadal wypełniać obowiązek zabawy.

XI

Dorośli, szukając zapewne kompensaty za własne rozczarowania, nudę i czczość rozrywek, wiedzieli lepiej, jak dzieci powinny się bawić, w co się bawić i co je bawić powinno. A może tylko doświadczywszy, że „życie byłoby znośne, gdyby nie rozrywki", chcieli nas zaprawić, zahartować i uodpornić – przygotować do obowiązków „życia towarzyskiego"?

Już przed podwieczorkiem pierwsi dezerterzy z kinderbalu wyruszyli do domów unosząc wygrane fanty, my zaś przy czekoladzie z pianką czekaliśmy niespodzianki dnia – oto któraś z dziewczynek pierwsza znalazła w ciastku pierścień królowej, któryś z chłopców mało nie połknął królewskiego migdałka. Już stała para władców nieszczególnie dobrana, jak to zwykle w małżeństwach, w których interes dynastyczny nie liczy się ze skłonnościami serca. Władcy rozdzielili tytularne godności, nadali kotylionowe ordery, lecz nim doszło do spełniania rozkazów i życzeń Ich Migdałkowych Wysokości, lunął deszcz – rozpierzchnął się orszak.

„Pod Jarząbkiem" nie udało się już jakoś zorganizować przerwanej zabawy, choć grzecznie i uprzejmie markowali goście zainteresowanie podsuwanymi propozycjami nowych gier, tylko stary spaniel warczał groźnie, gdy „komórki do wynajęcia" próbowały przepędzić psa z jego wygodnego fotela w kącie saloniku. I zaraz rozdzwonił się telefon. Wywoływane kolejno do aparatu dzieci odpowiadały wprawdzie: „tak, udało się, bawimy się świetnie", ale słowa te brzmiały blado, lecz że dodawały naraz: „a mali Szkoci wpadli do rzeki i mało się nie potopili", na drugim końcu linii podejmowano decyzje, wydawano dyspozycje i nie czekając, aż deszcz się skończy, podjeżdżały samochody i konne pojazdy o podniesionych, ociekających wodą budach. Pożegnania były krótkie i pośpieszne, guwernantki pakowały wygrane zabawki – i już było po kinderbalu, tylko mała księżniczka o krzywej łopatce i zdeformowanym ramionku łkała rozpaczliwie, trzymając się kurczowo dopiero co poznanej przyjaciółki. Ale i ją oderwała gniewnym szarpnięciem jej Angielka, perswadując coś: te łzy i ta przyjaźń? Nie, nie przystoją jedynej spadkobierczyni największego galicyjskiego nazwiska, tytułu i fortuny...

Pośrodku bawialni małe kuzynki „ze dworu" niestrudzenie puszczały gramofon, grając wciąż jedną płytę: to kręciły się w rytmie angielskiego walca, to znów przysiadały na chwilę i rozmawiały tylko z sobą:

– Ala, boisz się burzy? Bo ja się boję!

– Ach, jaki straszny deszcz! Strasznie mnie mdli... Maryta!

– Może o nas zapomnieli? Jak myślisz, Nata, co? Nie zapomnieli i o nich. Ale nim podjechał stary kocz o zapalonych już latarniach, pobiegłem do babki, by szepnąć jej do ucha, że Nata ma oberwaną falbanę przy dekolcie, że aż widać ramiączko płóciennego stanika... Babka popatrzyła tylko na mnie jakoś tak z boku i powiedziała:

– Moje dziecko, one nigdy właściwie nie miały matki, więc dużo im trzeba wybaczyć!

I prosiła Marguerite, żeby przyniosła igłę i nici.

Tej nocy zresztą Marguerite opuściła mnie na dobre. Jeszcze wieczorem, gdy wyczerpany, podniecony, rozdrażniony i cierpiący na niestrawność kładłem się wreszcie spać, podała mi filiżankę pachnącego ziołami naparu The Chambard. A gdy się rano przebudziłem – Marguerite nie było już! Zostawiła mi tylko na pamiątkę kryształową kulę z panoramą Rzymu. Podobno przeniosła się za górę, do małych Szkotów, którym opowiadała pewnie długo, jaki ze mnie był grzeczny i dobry chłopczyk, a oni, znienawidziwszy i ją, i mnie, i gramatykę Augego, zadręczyli ją na śmierć, bo nie słyszało się o niej więcej.

Uczestniczyłem potem jeszcze w innych kinderbalach, a nawet wbrew przewidywaniom – w garden–party. I wszędzie zmęczone i znudzone dzieci pod bacznym okiem dorosłych brały udział w „hucul-

skich korowodach", „góralskich weselach", „indiańskich ogniskach", organizowanych w myśl tej samej recepty. U Igi błądziło się w labiryncie grabowego szpaleru, gdzie czekały to miłe, to znów trochę straszne niespodzianki, i wyświetlano kreskówki Disneya z aparatu Pathe–Baby, u księżniczki w sztucznej grocie nad stawem przebrana za Cygankę miss kładła kabałę wróżąc z kart, gdzieś zamiast małych Szkotów przyjechał mały Japończyk w kolorowym kimonie, znów raz zachwyciła wszystkich maleńka Hinduska z barwnym znakiem na czole, otulona fiołkowym sari. I wszędzie, nawet u Igi, były też dzieci w niemodnych sukienkach, aksamitnych ubrankach i niemożliwych fryzurach, które bawiły się najlepiej, zdobywały najwięcej nagród i obiecywały, że u nich będzie raz kinderbal. Nie dotrzymywały jakoś obietnicy, ale nikt nie żałował. Niebo nad Uzdrojowiskiem zaciągnęło się na dobre, więc czas był teraz i na prawdziwy, wielki bal. Zapewne i ten bal nie różnił się od innych balów, możemy więc spokojnie przytoczyć notatkę z „Kroniki Towarzyskiej" „Leodyjskiego Kuriera":

POŻEGNANIE SEZONU.

„Polonezem »Pożegnanie Ojczyzny« zakończył się tegoroczny sezon w znanym Uzdrojowisku. Bal urządzony staraniem Zarządu w lustrzanej sali Kurhauzu, przystrojonej z całym przepychem jesiennych kwiatów i barw, zgromadził elitę kuracjuszy, wśród których nie brakło czołowych postaci społeczeństwa. Wykwintne toalety pań, fraki i smokingi panów, a nade wszystko barwne mundury galowe Armii, znakomita orkiestra reprezentacyjna Ułanów Leodyjskich, obfity bufet – złożyły się na ewenement towarzyski, który na długo zapisał się w pamięci zaproszonych Gości. O północy spełniono tradycyjny toast »Kochajmy się!«, po czym Prezes Zarządu Uzdrojowiska, Jan hr. Bełkocki, powiódł poloneza, prowadząc Panią Generałową Przebóg–Wyskokowską. W drugiej parze Pan Generał Dywizji Ziemowit Przebóg–Wyskokowski poprowadził jednogłośnie wybraną Miss Uzdrojowiska, pannę Annemarie Baldini–Treschi, której przepyszny głos i posągowe kształty czarują bywalców Operetki Leodyjskiej, obecnie zaś – jak krążą słuchy – wzbudziły poważne zainteresowanie znanego na naszych torach sportsmana, p. Rafa Stelltischa. W barwnym korowodzie spostrzegliśmy dalej..." itd., itd., itd.

..."Obecnie uczestnicy Balu rozjeżdżają się, obiecując sobie powrócić na przyszły rok do Uzdrojowiska, gwarantującego prawdziwie europejski poziom."

XII

I po sezonie. Było chłodno, mglisto, a jeśli na deptaku dostrzegli się nawzajem dwaj kuracjusze, śpieszyli ku sobie wszczynając z miejsca zażyłą rozmowę, niczym polarnicy spotykający się niespodziewanie na bezkresnych pustyniach lodowych Arktyki.

Nuda zżerała nas teraz, bo przez lato zdołaliśmy doszczętnie wyeksploatować przywiezione książki i zabawki. Włóczyliśmy się po Uzdrojowisku, znajdując pewnego dnia kłódkę na drzwiach źródła, niespodziewane spiętrzenie ławek zniesionych z całej promenady pod dach pawilonu muzycznego, hałdę zwiezionego przez noc koksu. Uzdrojowisko przygotowywało się do zimy.

I tylko w Łazienkach, gdzie zaglądaliśmy, by się ogrzać, snuły się w hallu wokół rozrośniętej palmy ostatnie elizejskie cienie: białe płaszcze kąpielowe w kłębach pachnącej olejkiem do inhalacji pary odbierały niedobitkom kuracjuszy wszelkie pozory rzeczywistości. Dzięki postępującemu rozprzężeniu personelu mogliśmy nawet zaglądać do kotłowni, gdzie strzałka manometru powoli, lecz nieubłaganie odchylała się ku zeru, przewieźć się wagonikiem do borowiny, zwiedzać kabiny kąpielowe – a nawet raz, zbłądziwszy w nieznane regiony korytarza, wtargnęliśmy do pomieszczenia, gdzie danym nam było spostrzec słynne „posągowe kształty" Annemarie Baldini–Treschi, co prawda oblepione grubą warstwą czarnej, borowinowej mazi.

Najciekawiej było zajść jednak do najstarszej części Łazienek, do jądra samego, z którego powstało Uzdrojowisko. Był to ów pierwszy pawilon, który rozbudowany następnie, obudowany, zniknął w końcu w okazałym gmachu. Wielkie pokoje kąpielowe mieściły niekiedy aż po dwie stare miedziane wanny, do których skapywała woda z mosiężnych szyi łabędzich. Cicho szeleścił czerwony piasek w szklanych klepsydrach, a stojące w rogach obszerne i wygodne kanapy zachęcały do odpoczynku i do marzeń. Nie wiedzieć czemu przychodziło mi naraz dostrzec wyciągniętego na jednej z tych kanap wąsatego pana, podobnego do wyklętego wuja „ze dworu", tyle że ubranego we wzorzysty turecki szlafrok, bośniacką czapeczkę z kutasikiem i tureckie meszty z czerwonego safianu, jak paląc bursztynową fajkę na długim cybuchu wyciąga dłoń po filiżaneczkę kawy, którą podaje mu uśmiechnięta osóbka w stroju w niczym nie przypominającym schludnych fartuchów i krochmalonych czepeczków dzisiejszych panien kąpielowych.

Każdy dzień przynosił ogarniające smutkiem zmiany. Bo oto automaty przestały naraz wydzielać porcje czekolady i tylko z głuchym warknięciem zwracały wrzuconą monetę; opuściły się żaluzje „Pawilonu Handlowego Nadziakiewicz i S–ka", w którym przedsiębiorczy sklepikarz z Nieczajny, ulokowany na strategicznym skrzyżowaniu promenady z deptakiem na wprost mostu, raczył nas dotąd niezrównanymi cukierkami „kapucynkami", „klejdomordkami" i tabliczkami „gorzkiej AS z anglasem", zaś kucyki i osiołki pracowicie zwoziły grabione przez ogrodników liście.

Wreszcie któregoś ranka rozległ się stukot młotów: zabijano okiennice. I naraz ze swych kryjówek powypełzali dziwacy.

Najpierw służba odkryła jakieś rozkudłane czupiradło: stwór ten stawał o świtaniu i zmroku na moście nad Tabą, coś głośno gadał, gestykulując prowadził sam z sobą długie dialogi. Nagabywany zemknął w krzaki, gdzie wkrótce osaczyła go prowadzona przez Maksyma obława i przywiodła do Zarządu Uzdrojowiska. Postawiony przed oblicze mojej babki stwór wyznał, że jest poetą, że zalega z rachunkami w pensjonacie i zamierza popełnić samobójstwo.

Zarząd Uzdrojowiska był przygotowany na takie wypadki. Wytłumaczono przeto poecie, że studwudziestozłotowy dług jest po prostu niczym w porównaniu ze stratą, jaką poniosłoby społeczeństwo przez śmierć utalentowanej i oryginalnie myślącej jednostki, zaś niewielki kasowy niedobór nie da się porównać z kłopotami i kosztami, jakie poniósłby Zarząd w wypadku śmierci i dochodzenia policyjnego, prosi się więc uprzejmie pana poetę, aby biorąc pod uwagę interesa Uzdrojowiska zechciał poniechać zamiarów, przyjąć parozłotową zapomogę i udać się przez górkę najlepiej do konkurencyjnego Zdrojowiska, czynnego cały okrągły rok, gdzie zresztą też okazji do straceńczego gestu nie zabraknie, gdyby życie panu poecie ostatecznie zbrzydło. Potem była pewna miła i ładna zresztą panienka, żyjąca suchymi bułkami, popijanymi wodą zdrojową i nocująca w opuszczonym kiosku. I ten problem został ku obopólnemu zadowoleniu rozwiązany: panna okazała się utalentowaną maszynistką i zasiadła na stałe w Zarządzie, gdzie wystukała najpierw list do niewiernego ukochanego, potem drugi – do swych rodziców, i zadomowiła się w Uzdrojowisku.

Ale były wypadki beznadziejne, w których nikt nie pomoże. Przystanią dla tych skrachowanych egzystencji stawała się po sezonie „Cukiernia Wiedeńska" w Kurhauzie.

Tu półmrok, lepki od cukrowego pudru, pachnący cykorią, rozświetlały landrynkowe witraże, na których ruda i czarna pani o obfitych kędziorach unosiły zmanierowanymi gestami to filiżankę, to kielich zielonkawego płynu – byłbyż to absynt? Siedząc we wnęce okiennej na pluszowej kanapce za marmurowym stoliczkiem, wspartym na ozdobnie wygiętych faunach z żeliwa, oglądało się zniekształcone sylwetki przechodniów, jakby przez dno butelki. Obok firmowych popielniczek browaru Haberbuscha platerowane kielichy ukazywały mereżki serwetek, kokieteryjnych niczym koronkowa chusteczka w kieszonce garnituru prowincjonalnego eleganta, zmatowiałe zaś lustra, wprawione w czarną boazerię, zdobną w kolumienki o wyzłoconych kapitelach, odbijały opalizujące kielichy ampli, lamp, kinkietów i żyrandoli oraz długi rząd zwisających smętnie na bambusowych prętach gazet i czasopism ilustrowanych. I myślę, że gdyby kto zadał sobie trud przeszeleszczenia do końca nawarstwieniami pożółkłych i zetlałych płacht papieru, znalazłby gdzieś pod spodem numer „Czasu" z pamiętną proklamacją „Do Moich Ludów".

Po sezonie cukiernia była pusta i, jeśliś wszedł, brodząc wśród stolików i giętych krzesełek, czekałeś chwilę, nim nadbiegł stary Feliks, który przystawał

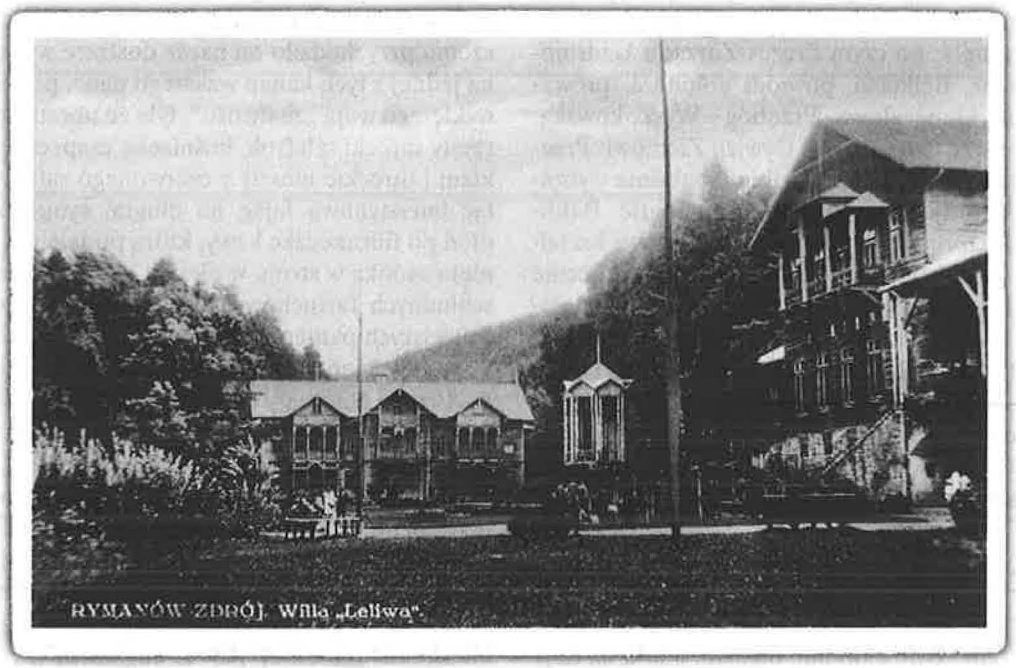

Rymanów Zdrój. Willa „Leliwa".

i przekrzywiając głowę patrzał, jakby zastanawiając się: klient to czy zjawa? – po czym znikał, by powrócić zaraz z przewieszoną przez ramię serwetką i przyjąć zamówienie. Podawał kawę z nieodłączną szklanką wody czy też „garnitur" z jajek w szklance, z mleczną kawą, masłem i rogalikami – z zardzewiałą gracją. „Znam mój fach – zdawały się mówić jego gesty – ale wybaczcie, przez lata człowiek już trochę wyszedł z wprawy".

A jednak cukiernia miała swoich stałych bywalców, tylko że się ich nie zauważało po prostu, tak jak nie widziało się już jej sprzętów. Oto w głębi, tam gdzie wieczny mrok rozjaśniał tylko tryskający z łabędziej szyjki płomyk gazowy, służący ongiś w „męskiej" części lokalu do zapalania cygar, siedział złożywszy dłonie na gałce laski siwy staruszek o gładkiej cerze i młodzieńczych oczach, ubrany w czarny żakiet i sztuczkowe spodnie. I tylko z bliska widziało się, że strój ten, wystrzępiony, uzupełnia zgrzebna koszula i połatane buciory, spoczywający zaś obok krzesła cylinder ubierać mógł stracha na wróble.

Kiedy brzęknęły naraz mleczne tafle wahadłowych drzwi i odpowiedziały im dźwięczne kryształki żyrandoli, widywałeś wbiegającą do cukierni wdzięczną sylwetkę damy: nad szeroką krynoliną „rose de Paris" płynął wielki kapelusz z czarnej słomki, przybrany burzą piór flaminga, na czarnym szalu migotały dżety, w obciągniętych długimi rękawiczkami dłoniach trzepotały przedmioty: naszywana pociorkami „pompadoura", zakończona ptasią główką parasolka, długa srebrna cygarniczka i barwny zeszyt obszarpanego żurnala.

– Czy pani, czy pani jest... Adelą? – z mroku wyłaniał się obszarpaniec, przyciskając do piersi laskę i rondo cylindra.

Wybuchała kaskadami śmiechu, śmiała się, śmiała – aż naraz milkła i ukazując pod światło ostry, ptasi profil mówiła:

– Nie mój panie! Jestem Simonetta Testi! On kłaniał się, odchodząc mruczał:

– A to przepraszam, pięknie przepraszam, bo to ja czekam na pannę Adelę, i zaraz ślub... Mówią, że wyjechała, że wyjechała z rotmistrzem... Źli ludzie, źli... Moja Adela przyjdzie zaraz... Ubiera się, zapomniała coś... To się zdarza, prawda? To się zdarza!

Dama odwracała się zniecierpliwiona, pstrykała palcami: – Feliksie, moja kawa! – Rozsiadała się wygodnie przy oknie, krzyżowała wdzięcznie stopy i szeleściła kartkami żurnala.

– Co to, Feliksie? – pokazywała różowe, lukrowane ciasteczko. – Zamawiałam tylko kawę!

– Pani łaskawa pozwoli... – stojący za jej ramieniem Feliks nachylał się do ucha. – Zostało od wczoraj, nie trzeba płacić...

– Skoro już Feliks podał to ciastko! – mówiła łaskawie i sięgała do talerzyka, naraz wsypywała do kawy zawartość cukierniczki, a Feliks stał dalej, jakby w oczekiwaniu dalszych zamówień. A ona, kartkując żurnal: – No, kto by myślał! Ta mała Baldini–Treschi... W operetce! Nóżki ładne miała, ale głos? Chórzystka! I co Feliks na to?

– Trudno powiedzieć, łaskawa pani! Takie czasy... Żeby nasz cesarz żył, toby się wiele rzeczy nie mogło przydarzyć! – wznosił oczy i patrzył w sufit. – Ja bym dalej podawał u Sachera, a łaskawa pani...

– Feliks chciał powiedzieć: mój mąż, pan Testini nigdy by nie jeździł z koncertami po takich zakazanych dziurach, jak ta, nigdy by nie zobaczył tej ukraińskiej dziwki, i... Ta to miała głos, to prawda, ta to miała głos! – dodawała z jakąś smętną satysfakcją.

W głębi otwierały się drzwi, przepity baryton darł się: – Feluś, panie Feluś, piwa! – i dobiegał łomot kul wpadających w bilardowe łuzy.

Po sezonie miejscowi okupowali salę bilardową. Kłęby tytoniowego dymu, zapach „beczkowego dubeltowego", uderzenia kijów i turkot bil składały się na męską atmosferę tego miejsca, gdzie mężczyźni bezpieczni byli przed kobietami. W kolorowych koszulach o podwiniętych mankietach, w rozluźnionych krawatach korzystali z godzinki hazardu w trzasku markierującej maszynki. Rzeźnik opierając wielki brzuch o bandę stołu ważył się na niesłychanie ryzykowne uderzenie, felczer – dawny wojskowy – demonstrował efektowny karambol i kule biegły posłusznie po trajektoriach wyliczonych zgodnie z prawami balistyki, aplikant gniotąc w palcach złocony ustnik papierosa rozwodził się nad wyższością trójkątnych bilardów rosyjskich... A stary kelner, stąpając po okruchach błękitnej kredy rozsypanej wśród trocin, wzdychając przyjmował zamówienia: bombkę okocimskiego, flaszkę haberbuscha, halbę żywieckiego.

Zdmuchiwana piana plamiła ściany, na podłogę sypał się popiół i niedopałki, białe, niebieskie i czerwone bile toczyły się po zielonym suknie, wybuchały salwy śmiechu, przekleństwa, okrzyki.

– Panie Feluś, nie wiesz pan, kto umarł? – pytał rzeźnik wskazując przez okno naklejoną na tablicy klepsydrę.

– Ech – mówił pan Feliks – to nie nasz stały klient. Jakiś kuracjusz! – I gra toczyła się dalej.

W kącie siedział stary buchalter Kurhauzu, pan Kolenda. Ocierając kraciastą chustką spocone czoło i mokre od piwa wąsy tłumaczył zapalającemu papierosa aplikantowi :

– Bo życie, panie, to jakbyś pan, panie, arbuza miał. Jeden arbuza weźmie, na półmisek położy i ot, cieszy się, że arbuza ma. Aż tu arbuz wziął zgnił i wyrzucić szkoda. Inny to, panie, arbuza, nie patrząc jakiego, z basztana zerwie, pięścią go, cholera, rozwali i zaraz gębę w ten arbuz tka, żre, pestki pluje, a sok to mu aż rękawami koszuli i za kołnierz leci. A ja to, panie, z arbuzem tak: najpierw upatrzywszy którego pomacam, odetnę, na dzień, dwa na słoneczko wystawię, żeby on doszedłszy swoją słodycz miał, to ja go, panie,

Rymanów Zdrój. Willa „Zofia".

dopiero na połówki rozkrawam, pestki wyjmam, cukrem posypię, nie za dużo, nie za mało, w sam raz. I dopiero araku w niego naleję i łyżką zjem. I ot, panie, cała filosofija!

XIII

Już zdawało się, że Uzdrojowisko zapadnie pomału w sen zimowy, aż tu na gościńcu zaturkotała wojskowa bryczka, wiozące trzech grubych, wąsatych kwatermistrzów, i zaraz wszystko opanowała Armia. Tanecznym truchtem koni, w furkocie proporczyków poszedł szwadron ułanów, dudniły treny, szurgotała miarowo piechota, dymiły w marszu polowe kuchnie, przetoczyły się działa i amunicyjne jaszcze.

W górach rozłożył się obóz wojskowy oznajmiając się srebrnym głosem trąbek. Przed namiotami, na placu alarmowym, pod masztem flagowym widniał przemyślnie ułożony z pobielonych kamyków Orzeł Biały na tarczy z czerwonej, miałko utłuczonej cegły obok pułkowych emblematów. Wokół snuł się ten szczególny zapach wojska: zapach dymu, grochówki z kotła, juchtu, smaru, końskiego potu, siana, przygłuszony chlorem smrodek latryn.

Marsowi wartownicy w hełmach, pod karabinami z obnażonym bagnetem, z trudem zachowywali służbistą powagę przepuszczając do obozu dzieci. I pod opieką „służbowych" można było błądzić przez namiotowe uliczki, zaglądać w ciemne wnętrza, wypełnione równiutkimi posłaniami, skosztować grochówki z menażki, podzielić się pysznym, twardym kminkowym sucharem z osiołkiem – maskotką pułku, którego szkarłatna uprząż z dzwoneczkami wzbudzała zachwyt dzieci.

A kiedy jeszcze za sprawą zatkniętej w ziemię tyczki z powiewającym rękawem, kilku blaszanek, stalowych beczek i kopcącego ogniska dawny tor wyścigowy, hipodrom, zamienił się w aerodrom, w lotnisko polowe, z którego wzbijał się w niebo łącznikowy RWD–6, nasz zachwyt i miłość do armii osiągnęła szczyty. Trudno zresztą o milszych i życzliwszych dzieciom ludzi, jak znużeni monotonią służby żołnierze, zaś jakkolwiek później sprawiedliwie i niesprawiedliwie oceniano wojsko lat międzywojennych, nikt nie zdołał tej armii zaprzeczyć ważnych zalet: wdzięku i elegancji. Dzieci garnęły się do żołnierzy i była to piękna miłość. Nie mogły jej zaszkodzić nawet puste i dęte słowa głupawych szkolnych czytanek, bzdurne śpiewanki:

Marszałek Śmigły–Rydz
Narodu dzielny Wódz!
Gdy każe, pójdziem z nim
Hitlera tłuc!
Nic nam nie zrobi nikt,
Nikt nam nie zrobi nic.
Bo z nami jest Marszałek
Śmigły–Rydz!

Przed Kurhauzem parkowały teraz bure Polskie Fiaty – Łaziki, na promenadzie falowały generalskie peleryny z bobrowymi kołnierzami; a szable, ostrogi, akselbanty, wyłogi i lampasy... ech, co tu gadać, było

to właśnie takie wojsko, o jakim marzyć mógł ktoś wychowany na lekturze Gąsiorowskiego i Przyborowskiego.

I nawet słońce, czy to ciekawe, czy zazdrosne w obliczu owych wspaniałości, czy to litując się nad marznącymi w siąpiącym dotąd deszczu żołnierzami, ukazało się wśród chmur i rozsnuło naraz nad Uzdrojowiskiem i obozem nitki spóźnionego babiego lata. Wtedy jednak bezlitosny regulamin kazał przebrać się w płaszcze, tak że nieszczęsne wojsko pociło się, wzdychając tęsknie do chłodniejszych dni. Zdarzały się jednak odstępstwa od regulaminu, bo gdy Kasia, pokojóweczka z „Pod Jarząbka", wyruszyła z koszykiem na zakupy i mijała maszerujący do łaźni oddział, wachmistrz skomenderował „na lewo patrz!" – Kasia wróciła bardzo zawstydzona i przejęta, gubiąc po drodze rachunki, a potem nie mogła już ruszyć nogą bez eskorty wojskowej. Mimo gniewnych pomruków Antosi trzeba było „Pod Jarząbkiem" przyzwyczaić się do nieustannej służby koszarowej ułanów, na wyprzódki rąbiących drwa, trzepiących dywany, gotowych nawet zmywać naczynia i obierać ziemniaki. Biedni! Po paru dniach Antosia zasmakowała w sytuacji, która oddała pod jej władzę ułanów, i wkrótce każdy zupak mógłby się wiele nauczyć od niej w zakresie musztry, drylu i regulaminu!

A mimo to ułani niechętnie ciągnęli przed capstrzykiem w stronę obozu, Kasia zaś, zapatrzona w buzujący pod płytą ogień, zapisywała w zeszycie z kuchennymi przepisami piosenkę:

Gdzie się podziały te smutne wieczory
I te prześliczne poranki,
Kiedym ja chodził, coraz i coraz
do mojej lubej kochanki?
Ona mi dała koszyczek malin,
A ja jej różę na wianek,
Wtedy mi rzekła z całego serca,
Tyś mój najmilszy kochanek!

Tak więc wszyscy mieli coś z jesiennych ćwiczeń a już najwięcej pewnie dzieci, które za sprawą nawiązanych z wojskiem przyjaźni mogły dosiąść generalskiego wierzchowca i w kabinie RWD–6 manipulować chwilę sterowym drążkiem.

I jakże serce wszystkim rosło, gdy orkiestra grała Marsza Generalskiego, konny dobosz powodując wierzchowca – karoszka o białej strzałce i trzech białych skarpetkach – uwiązaną do stóp trzęzłą oburącz walił pałkami w kotły, ku słońcu wznosiły się w fanfarach złote gardła trąbek, lśniły obnażone szable i grzmiały przed frontem ostre komendy, władcze powitania, gromkie „Czołem panie–generale!!!" Pięknie było i barwnie, a wszystkiemu przyglądał się przez monokl wykwintny sojusznik: major Galabarescu, adiutant króla Karola, zachwycając swym mundurem francuskiego kroju i niewiarygodną talią. Szeptano wprawdzie, że nosi gorset i kąpie się w paryskich perfumach – ale były to chyba podszepty wrogiej propagandy, zmierzające do osłabienia polsko–rumuńskiej przyjaźni.

Nadchodził dzień rozstania. Lodowaty wiatr spadał z gór, rozwiewając iskierki żaru i popiołu dogasających ognisk biwaku, smętnie zwisała mokra od deszczów flaga. Aż któregoś dnia w zamienionej na kasyno oficerskie „Cukierni Wiedeńskiej" wzniosły się ku portretowi Marszałka wypełnione „Łańcucką Żytniówką" kieliszki pożegnalnego toastu i wylegliśmy wszyscy na skraj szosy. Odprowadzaliśmy pozdrowieniami dłoni naszych przyjaciół–żołnierzy, znajomi oficerowie salutowali z koni, a zapłakana Kasia rzucała z werandy naręcza ostatnich kwiatów jesiennych: białych i amarantowych astrów.

Maszerowali ze śpiewem. Śpiewane przez kompanie melodie i słowa nakładały się na siebie, mieszały, głuszyły wzajemnie – ale przecie i tak każdy z nas znał je na pamięć, więc słyszeliśmy i wszystkie naraz, i każdą oddzielnie. O, jakoś tak:

– Trzy, cztery!
O mój rozmarynie, rozwijaj się,
O mój rozmarynie, rozwijaj się,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej,
Jak to na wojence ładnie,
zapytam się!
Jak to na wojence ładnie,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej,
Kiedy ułan z konia spadnie,
Rozkwitały pąki białych róż,
zapytam się!
Kiedy ułan z konia spadnie,
Wróć, Jasieńku, z tej wojenki wróć,

– Trzy, cztery!

Koledzy go nie żałują,
A jak mi odpowie, nie kocham cię!
Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat,
Koledzy go nie żałują,
A jak mi odpowie, nie kocham cię!
Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat!
Jeszcze końmi go tratują,
Ułani werbują, strzelcy maszerują,
Jasieńkowi już nie trzeba róż,
Jeszcze końmi go tratują,
Zaciągnę się!
Śpij, kolego, długie lata,
Jasieńkowi już nie trzeba róż,
Ułani werbują, strzelcy maszerują,
Śpij, kolego, długie lata,
Tam, pod lasem, gdzie w wojence padł,
Zaciągnę się!

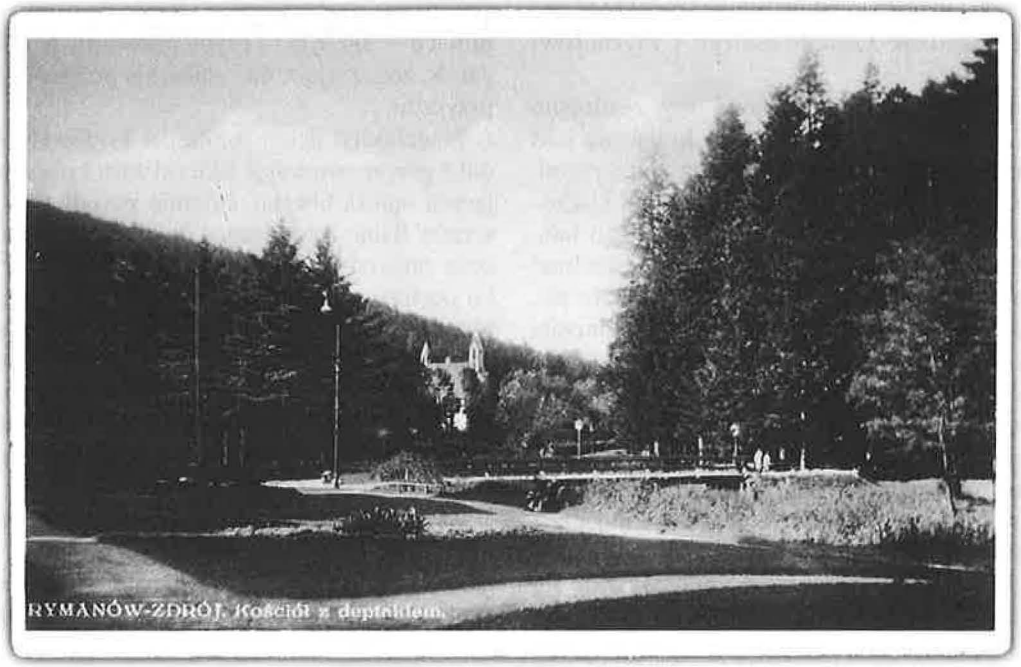

Rymanów Zdrój. Kościół z deptakiem.

Niech ci trąbka gra, tratata,
Niech ci trąbka gra, tratata!
Rośnie na mogile białej róży kwiat.

– Trzy, cztery!

Smutno było wszystkim słuchać oddalającego się, milknącego śpiewu, ale nikt nie myślał jeszcze, że słowa o rozstaniu, o tęsknocie i śmierci nabiorą już za rok innych znaczeń – ostatecznych.

XIV

I na nas czas. Do starego Daimlera dziadka i Fiata Zarządu ładowaliśmy walizki i kufry, ruszając w niedaleką drogę do Nieczajny. Żegnały nas pochylone głowy zwarzonych pierwszym szronem słoneczników.

Wieczory były już długie. Dziadek przebrał się w zniszczoną kurtkę myśliwską i powrócił do swej właściwszej, prawdziwszej postaci. Wolny od obowiązków, poświęcał nam, dzieciom, godziny zmierzchu „między psem a wilkiem", czas szarówki. Gdy zapadłe za górami słońce pozostawiło już tylko na ciągnących wysoko chmurach perłowy poblask, iryzujący niczym opalowe szkła „pięknej epoki", zapalały się lampy naftowe, tłuste, nagrzane, czerpiąc potęgę ognia z wysublimowanych esencji pachnących niezgłębionymi pokładami ziemi i czasu. W ich błękitno-pomarańczowych płomieniach, w żarze trzaskających w piecach szczap ukazywały się nam historie z dawnych lat.

Dziadek opowiadał wnukom dzieje rodziny stopione z dziejami Polski, sceny gwałtowne, tragiczne i krwawe, lecz zblakłe, jakby oglądane w odbiciu „latarni magicznej". Za sprawą prostej sztuczki kompozycyjnej, podobnie jak w obrazach dawnych mistrzów, odnajdywaliśmy w nich łatwo ową najistotniejszą, centralną postać, z której mieliśmy brać przykład i wzór, w którą winniśmy się byli wcielić za sprawą mistycznego związku. Lecz wysoko ponad wszystkie chlubnie wygrane i chlubniej jeszcze przegrane bitwy, ponad wielkie słowa i gesty – wzlatywał wielki, ogrzany słomą i kłaczkami wełny balon, w którym nasz pra-pra-pra-wuj czy stryj wzbił się kiedyś nad Warszawę w towarzystwie białego pudla i przerażonego Murzynka. I choć ów pra-pra-prawuj (czy stryj) po odbyciu podróży do Chin skończył marnie jako literat, z pistoletu paląc sobie w łeb ozdobną kulką odkręconą z cukiernicy i pozostawiając gdzieś na Ukrainie groblę usypaną ze swych dzieł: figlarnych komedyjek, sztuczki o andaluzyjskich Cyganach, traktatu o Sarmatach i czegoś w rodzaju Bajek z Tysiąca i Jednej Nocy, to przecie pozostał długo totemem dziecinnego klanu. Nowo poznanego kuzyna pytało się po prostu: – Czy twój pra-pra-pra-dziad, wuj albo stryj latał balonem z pudłem i Murzynkiem? Nie? No to nie jesteś nasz!

Aż kiedyś dziadek, naraz czemuś pochmurny i milczący, zamknął się w swoim pokoju i nasłuchiwaliśmy już tylko jego ciężkich i gwałtownych kroków ponad naszymi głowami. Coraz bardziej stawał się dla nas, dzieci, żywą transpozycją Boga – brodatego i niedosiężnego, a przecież realizującego ponad nami nasz los, troszczącego się o nasz byt – w sposób niezrozumiały i nieodgadniony.

– Nafta! – mówił. – Nafta jest tu wszędzie! –i kantem wąskiej srebrnej papierośnicy uderzał w stół. Była wszędzie, w tłustych iłach, szarych łupkach, iryzowała w kałużach leśnych dróg i tłustymi plamami spływała Tabą. Była gdzieś, pod ziemią sypką, pokrytą igliwiem świerkowym. Bóstwo Ognia mogło udzielić nam części swej potęgi za sprawą przypadku, zagłębiając świder wiertniczy, wyszczerzony diamentami z Kimberley w ił, piasek i wapień, abyśmy mogli czerpać ze złóż fermentujących od milionów lat skorupiaków, których odciski znajdowało się w rozłupanych odpryskach skalnych. Czy nafta za sprawą paryskiej, londyńskiej Giełdy, zmieniłaby nasz los, umożliwiła powrót w Czas Miniony, zamknięty cezurami Powstania Styczniowego i Październikowej Rewolucji? Ani wiedząc o tym, dziadek, nasz Bóg, był już bankrutem. Bo zasady przyzwoitości, dobrego smaku i poszanowania konwencji – te sztucznie narzucone więzy rwały się, musiał powstać nowy Porządek Rzeczy w procesie wielkim, trudnym i bolesnym.

Rozumiała to babka, prostoduszna i rozsądna, zajmująca się małymi rzeczami. W jej szafach i komodach ułożone były, w myśl surowo przestrzeganych zasad, komplety pościelowej bielizny, ręczniki, obrusy i serwety segregowane wedle gatunku, ceny, stanu zużycia i przydatności. Zbyt mało miała wyobraźni, aby, wyuczywszy się kilku prostych reguł, nie umieć autorytatywnie rozróżniać, co dobre, co złe. Mówiła „to dobry", a to znów „zły człowiek", tak spokojnie i pewnie, jak odrzucała „na szmaty" zniszczone prześcieradło. Zachowała przecie miłość dla ludzi, także dla tych, którzy miłości nie byli godni. Sprawy małe, codzienne rosły w jej oczach, sprawy wielkie traktowała jak nieuchronną konieczność – tak jak trzeba. I tylko dzięki niej Uzdrojowisko przeżyło o dwudziestolecie swój właściwy czas.

XV

Leś stał się bezpośrednią przyczyną zagłady Uzdrojowiska. Następnego roku pod koniec września zjawił się znów, tym razem w obszarpanym i pozbawionym dystynkcji mundurze Podchorążówki. I nie czas było wtedy pamiętać o niefortunnych epizodach sezonu. Ale w dwa lata później najpierw w tartacznej budzie „rozpił liter bimbru" z kuzynami „ze dworu", a potem ktoś przeciął idiotyczny zakład i Leś, uzbrojony w starą papierośnicę, którą wyprosił z pamiątek po dziadku, ruszył do Kurhauzu, gdzie w „Wiener Cafe – nur fur Deutsche" już nie Feliks, a rubaszne „Dirndle" podawały bawarskie piwo miejscowym Volksdeutschom, konfidentom i żandarmom. Przewiercony w grzbiecie starego porcygaru otwór na knot („na lont" – powiedziałby dziadek) mógł od biedy w półmroku uchodzić za lufę rewolweru, ustawieni na „Hande hoch" twarzami do ściany piwosze dali się Lesiowi rozbroić, po czym huknął on ze zdobycznej parabelki nad głowami ułożonego na podłodze Herrenvolku w fotografię Fuhrera i wyszedł zagarniając z szynkwasu fant: butelkę „Weinbrand Elite–Exklusiv". W krzakach nad Tabą oblany został tym trunkiem wygrany zakład, po czym obwieszeni zdobyczną bronią chłopcy ruszyli „do lasu" – to jest w stronę Nieczajny, a po górach niosły się śpiewane na melodię, „Pałac Zimowy we Flandrii" słowa nowej piosenki":

My młodzi, my młodzi, nam bimber nie zaszkodzi!

Niebawem nadjechali ciężarówkami inni młodzi, gotowi na wszystko i sprawni chłopcy – Obersturmbannfuhrer Fritz Appe przyprowadził swoje Sonderkommando.

I jeśli dziadek, wąsaty i brodaty, siedząc wśród chmur po prawicy wąsatego i brodatego Pana Boga spojrzał przez prześwit w obłokach, dostrzegł nad Uzdrojowiskiem i nad Nieczajną łunę ognia. Szkliste oczy strażaków, ułożonych rzędem pod przeciwpowodziowym wałem nad Tabą, nie odpowiedziały „na prawo patrz" na pełne wyrzutu spojrzenie Honorowego Ogniomistrza, bo zostali oni rozstrzelani wraz ze świętym Florianem jedną długą serią z karabinu maszynowego. Reszty dokonały upowskie rezuny i dymy zasnuły także i ten skrwawiony, płonący skrawek Europy.

Przedruk za zgodą Autora ze zbioru "Zamek w Karpatach – opowiadania i zmyślenia". Czytelnik – Warszawa 1973. Wydanie I.

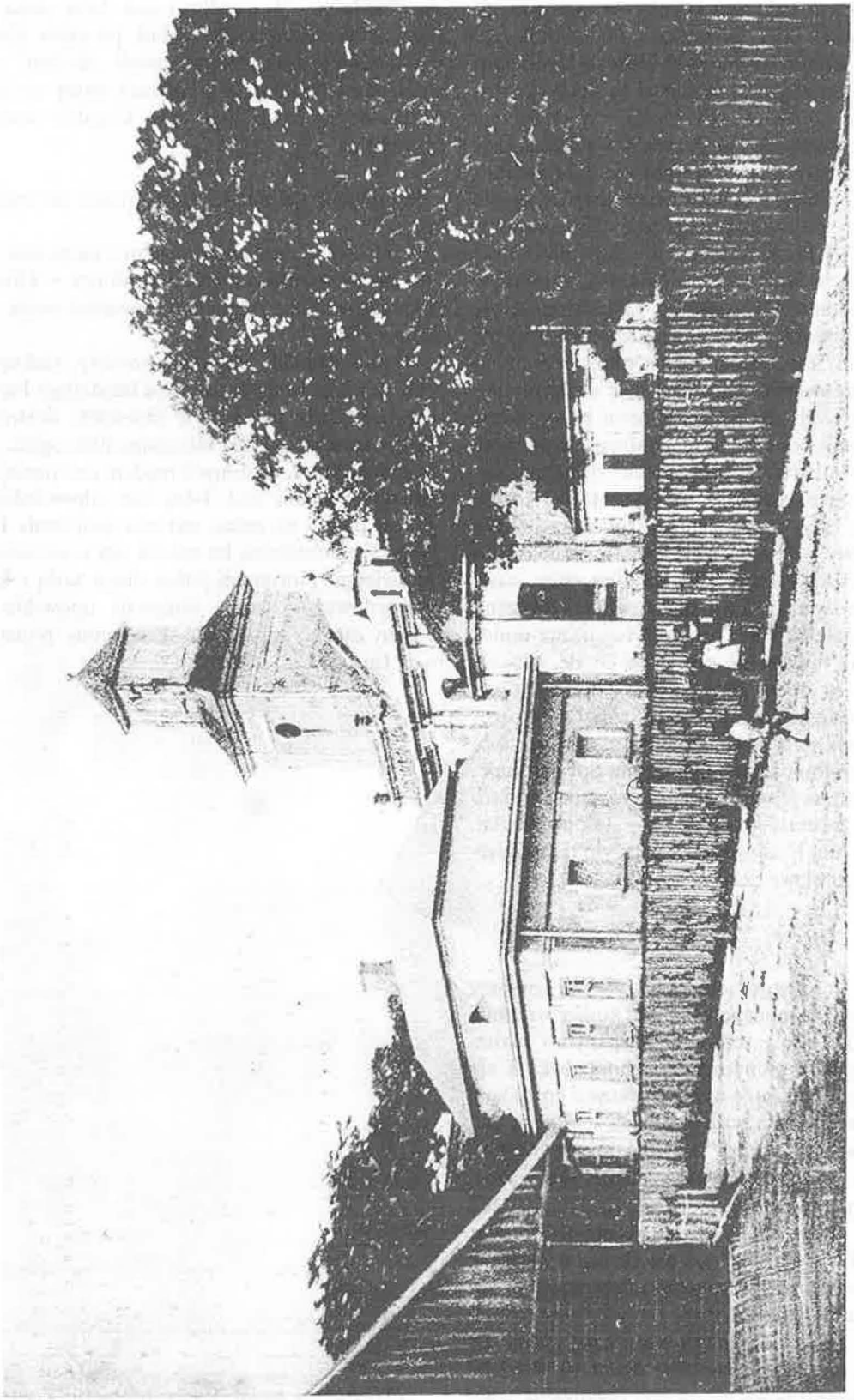

RYMANÓW. Widok na kościół i plebanję.